Nr. 37. Warszawa, dnia 2 (15) Września 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

NOWY EKSPERYMENT.

Złą przysługę wyświadczył Austryi hrabia Badeni, ongi prezes ministrów przedlitawskich, gdy w kwietniu r. 1897 wydawał swe rozporządzenia o języku władz państwowych w Czechach: wrzucił żarzewie w proch, i proch też wybuchnął i wyniszcza państwo, które już i bez tego ani w zewnętrznem położeniu swojem, ani w wewnętrznej budowie zbyt silnem nie było. Historyczna „obstrukcya" zaczęła się od tych badeniowskich rozporządzeń. W maju już r. 1897 musiał sam ich twórca posłać Izbę na wypoczynek, dać jej czas do rozwagi, której skutki okazały się w zmożonej zaciekłości Niemców, rozporządzeniami obrażonych, i potrzebie nowego w czerwcu odroczenia, aż do jesieni. W październiku Izba poselska, organ państwa, stała się zgromadzeniem jakby z ulicy spędzonej hałastry, jakby zebraniem żaków, usiłujących się przekrzyczeć, przemódz, jeśli nie słowem, nie krzykiem i hałasem, to pięścią, i nawet rewolwerem. Najważniejsze sprawy państwowe, z palącym terminem, jak sprawa ugody z Węgrami, deptano i wyrzucano za próg; walka stronnictw pożarła wszystko: rozum, uczucie i instynkt zachowawczy. Izba, przeznaczona dla państwa, dla jego funkcyi, stała się cyrkiem dla stronnictw — dla dwu współżyjących z sobą a wzajemnie wyłączających się narodowości. Gdy sprawcy tych zapasów, Niemcy, wezwali na pomoc ulicę Wiednia, gdy nierozwaga p. Badeniego, w dalszym ciągu czynna, spłodziła słynną *Lex Falkenhayn* — obstrukcya sprzątnęła samego polityka, który miał dać Austryi nową dobę życia politycznego, a przyniósł tylko nieszczęście.

Od 28 listopada 1897 r., daty dymisyi hr. Badeniego, Austrya nie miała stałego rządu; gabinety, a było ich cztery, zmieniały się jak figury w kontredansie; każdy był tylko tymczasowym, przejściowym, miał służyć tylko za kładkę do przejścia na drugi brzeg, gdzieby już stał gabinet poważny, trwały, normalny. Ale drugi brzeg był mytem, gabinet na nim dziecinnem marzeniem, a charakter gabinetów „tymczasowych" nieszczerym. Już Gautsch, następca Badeniego, złagodził jego rozporządzenia, a Clary-Aldringen, przedzielony od Gautscha Thunem, zupełnie je zniósł: nie uciszył burzy, sprawił tylko to, że u korby obstrukcyjnej zamiast Niemców, zadowolonych z odwołania, stanęli Czesi, odwołaniem skrzywdzeni. Niemoc Izby, zupełne jej obezwładnienie, towarzyszyły bez przerwy wszystkim czterem gabinetom przejściowym, po których przeszło już koło historyi; towarzyszy i obecnemu, piątemu z rzędu następcy poważnego polityka, a eleganckiego przytem kawalera, który z dziennikarzem wiedeńskim, takim Wolffem, nie wahał się pójść na rękę. Przez cały ten czas rząd, ilekroć przekroczyć chciał obręb bieżącej administracyi, musiał brak woli prawodawczej, rozstrzygającej o potrzebach państwa, pokrywać upoważnieniem zamkniętem w osławionym paragrafie 14 konstytucyi z d. 21 grudnia 1867 r. — upoważnieniem niedoskonałem, kruchem, ale jedynem, które pozwalało jeszcze na utrzymanie ciągłości życia państwowego. W najważniejszych, najwyższych funkcyach państwa żyjącego według konstytucyi nastało zupełne odrętwienie.

Pięć gabinetów ustąpiło przed Izbą, na widownię walk stronniczych zamienioną; szósty, obecny, Koerbera, byłego ministra spraw wewnętrznych w poprzednim gabinecie Witteka — ustąpić nie chciał: Izbę odprawił, sam został. Po naradach mężów zaufania czeskich i niemieckich, które stwierdziły tylko szczepową nienawiść, spróbował jeszcze p. Koerber nawrócenia Czechów; układał się przez lato, na początku września koło parlamentarne czeskie przewagą trzech głosów swego komitetu wykonawczego postanowiło wytrwać w „obstrukcyi." P. Koerber miał już zamiar niewzruszony i zapewnione dla niego poparcie w samym cesarzu. Naprózno p. Jaworski przyleciał z Galicyi zaklinać i powściągać, naprózno p. Dzieduszycki dowodził, że nowa Izba gorszą będzie od obecnej; naprózno prasa katolicka niemiecka dopominała się raczej odprawienia ministrów niż Izby, aby swoich też ludzi ujrzeć u władzy: d. 7 września ukazał się patent cesarski, rozwiązujący dawniejszą Izbę i nakazujący natychmiast zarządzenie wyborów do nowej. „Natychmiast" może być w listopadzie lub gru-

dniu; w styczniu zbiorą się nowi prawodawcy, aby powtórzyć stare grzechy: znowu tamowanie obrad, znowu bezwład, zanik osobistości moralnej w Izbie, a za to grasowanie osób fizycznych ze wszystkimi indywidualizmami, talentami i całą potęgą gardziół, płuc, krtani i pięści. I to będzie odbywaniem funkcyj politycznych, spełnianiem obowiązków względem państwa!

Pan Dzieduszycki pośrednio radził p. Koerberowi dla nowej Izby wydać nowy regulamin: wróg nie mógłby dać rady gorszej. Zapomnijmy o *Lex Falkenhayn;* wystarczy zdrowy rozsądek na potępienie pomysłu, który zresztą nie teraz dopiero i nie inteligencya dzisiejszego wiceprezesa Koła galicyjskiego poczęła w swem łonie: przybłędę tego przygarniano i odpychano już przed kilku laty. Izba z nowym regulaminem nie zechce nawet wcale w tę *camisole de force* wejść, nie da się w nią wpakować. Walka narodowości przycichnie tylko na czas wrzawy i boju ozgwałcone prawa polityczne. Z mocy § 14, jedynego czynnego dziś prawodawcy w Austryi przedlitawskiej, cesarz nawet nie odważy się skorzystać. P. Koerber przyłożyłby samemu sobie nóż do gardła, gdyby się na podobne hazardy puścił, a Austryi zgotować by mógł erę rewolucyjną— już nietylko w walce Czechów i Niemców o język, ale w walce ludu politycznego z rządem, z władzą o konstytucyę, o Izbę, o wolność. Daleko prościej i łatwiej jest nie zwoływać wcale Izby, niż zwołaną wziąć odrazu na własne, umyślnie dla niej sporządzone kiełzna. Cesarz austryacki może konstytucyę zmienić, nie może jej gwałcić. Zmianę konstytucyi, wydzielenie pewnego obrębu spraw państwowych z pod samowoli Izby w razie dalszego jej oporu, niechęci i dobrowolnej niezdolności do działania nakaże rozum polityczny, instynkt zachowawczy, żywiołowa miłość istnienia i życia. W sposób zgodny z zasadami swobód politycznych stać się to może tylko przez federalizm; ale na taki czyn radykalny niema w Austryi dzisiejszej warunków przedmiotowych, ani też podmiotowych popędów, dość silnych do wywołania zmiany w ustroju. Pozostaje wola cesarska — i na tę wyborcy przygotowani być powinni. Wymiecenie sprawy niemiecko-czeskiej z Izby — to jedyne hasło rozsądku i dbałości o przyszłość.

Z NIEMIEC.

Berlin, 8 września.

Gdym przejeżdżał koło gmachu sejmu Rzeszy, zostałem przerażony panującem tam ożywieniem. Kobiety w podkasanych sukniach myły podłogi, mężczyzni w bluzach wentylowali pokoje, a odźwierny czyścił złote guziki liberyi (ultramarynowy jak niebo Böcklina kolor sukna symbolizuje pogodę ducha filarów porządku, a wązkie karmazynowe wypustki przypominają nam wulkaniczne zapędy malkontentów). Przypadek nadto chciał, iż w tymże dniu zetknąłem się w sklepie obuwia z wolnomyślnym posłem, który kupował szerokie buty niewątpliwie dlatego, iż ciasne kamaszki nie nadają się do energicznego kiwania palcem, słowem, wszystko świadczy, iż zanosi się tu na coś poważnego. Niechaj mi wolno będzie wypowiedzieć własne przypuszczenie. Wobec tego, iż wyprawa chińska nadspodziewanie prędko dobiega kresu, niemieckiemu rządowi nie pozostaje nic innego, jak uraczyć sejm Rzeszy rachunkiem za przedwcześnie zakończoną wyprawę i zabawę. Dotychczas rząd, zaskoczony nagłym wydatkiem wojennym, dawał sobie radę w ten sposób, iż nie wypłacał niemieckim państwom Rzeszy przypadających im w udziale należności. Obecnie jednak państwa te niezadowolone z wyznaczonej im podczas przedstawienia roli statystów oraz dla braku pruskiego patryotyzmu zaczynają szemrać i upominać się o mamonę. Chcąc nie chcąc zatem, rząd będzie zmuszony zwołać sejm i zniewolić go do opróżnienia kiesy, za co pozwolą mu mówić, ile mu się żywnie spodoba. Albowiem mielenie językiem należy do jego świętych i nietykalnych praw na mocy konstytucyi bismarkowskiej. Wprawdzie Niemcom dotychczas na mowach nie zbywało— *nulla dies sine linea*— ale korzyść z debatów sejmowych będzie przynajmniej ta, iż nareszcie dowiemy się, jakiego zdania są pełnomocnicy narodu o tej orgii patryotycznej, epidemii manifestacyjnej i szale upojenia militarnego, jakie obecnie panują w Niemczech. Czyż to ten sam naród, który złośliwie zarzucał Francuzom zamiłowanie do uroczystości i pompy, pozę i retorykę, oraz rozmyślne zastępowanie uroczystości kulisami teatralnemi? A tymczasem jesteśmy tu wciąż świadkami owacyj, manifestacyj, pochodów i uczt, którym wtórują mowy i mowy aż do nieskończoności. Wprawiają w ruch swe języki wszyscy, urzędnicy, prezesowie kriegervereinów, ministrowie i generałowie, a nawet sam Waldersee, powołany do wiekopomnych czynów już podczas spadania kurtyny teatralnej w Chinach, bawi publiczność jako miodopłynny Cycero. Posłuchajmy, jak odzywają się o jego debiutach pisma patryotyczne, narodowo-liberalne. Lipski *Tageblatt* pisze: „Generałowie za wielkiej epoki Wilhelma I bynajmniej nie byli milczącymi, ale ich następcy aż zanadto wykazali różnicę; również feldmarszałek Waldersee w przeciągu nadzwyczaj krótkiego czasu zdążył przynieść obfitą daninę zwyczajowi wielomówności, przyczem zadziwił świat słowami, iż dopóki dłoń jego zdoła utrzymać ofiarowaną mu buławę, dopóty przez usta jego nie przejdzie rozkaz do odwrotu. A przypomnijmy sobie, że nawet wielki Korsykanin miał swe Aspera i Esslingen. Zabawnemi takie figury retoryczne nie są, podobnie jak wiele innych rzeczy, poprzedzających nominacyę hrabiego, zdradzają zepsuty gust.“ Ultramontańska *Kölnische Volkszeitung* sarka: „Dowódcy nie mniej znakomici od hrabiego decydowali się w ostateczności na rejteradę, pompatyczna jego przysięga dziwi podwójnie, naprzód ze względu na absolutną nieobliczoność sytuacyi w Chinach, a następnie, jeżeli przyjmiemy pod uwagę powściągliwość z jaką cesarz wyraził się w Kassel o zadaniach hrabiego. Generał Buller równie, przyrzekał w swoim czasie złote góry.“ Jak widzimy, mówią tu wszyscy i stanow-

---

Marya Grossek.

APOTEOZA.

A kiedy przyszła minuta rozdziału,
Może ku swemu nie trafiły ciału?...
Może znęcone lubej twarzy czarem
Pozamieniały się na swe siedziby?...
Potem przez źrenic otwarte znów szyby
Wyszły, by osiąść znów w mieszkaniu starem?

Dość, że po owej „zapatrzenia“ chwili,
Po dusz gościnie i po ich uścisku...
Już myśli swoje widzieli w ócz błysku
I wyrazami więcej nie mówili!

Teraz przy murze, gdzie pełzną brzoskwinie,
Stojąc, głowami o siebie się sparli,
I nasunąwszy płaszcz do samych oczu,
Przypominają to sobie Umarli!...

Duch jego wyrwie gałązkę w jaśminie,
Kwiat, który zwykle bywał w jej warkoczu...
I pójdą dalej po wspomnień krainie,
A księżyc górą po nieba roztoczu.

Przeze drzwi szklanych wchodzą parapety
Do ustawionej po dawnemu sali,
Gdzie te pamiętne grywali duety!...
W której tańczyli, a raczej fruwali,
Jak dwa motyle, taniec w jedną parę,
W południe, albo o szarych godzinach...

Do tańca damy grywały im stare
Odwiecznych walców i polek melodye,
Które tańczyły jeszcze w krenolinach
Dawne Elwiry, Laury i Elodye.

Stoją te same staroświeckie meble,
Zczerniałe wiszą na ścianach obrazy,
Kryształki cicho drżą w osłonkach z gazy,
Lśnią klawiatury czarno z białem szczeble
Na fortepianie, który stał otwarty
I nut bieleją na pulpicie karty —
Wszystek odwiecznych pamiątek inwentarz!...
Który przemawia do nich każdym gratem,
Każdym obicia wypłowiałym kwiatem:
„Czy ty pamiętasz? — czy ty to pamiętasz?!“ —

W tym samym kącie plecami ku szybce
Ona grywała wtór na fortepianie,
On partyturę śpiewu brał na skrzypce —
Co bądź zaś grali sonaty, czy walce,
To było całkiem mistrzowskie zagranie:
Bo wychodziły z nich dusze przez palce! —
I przebiegnąwszy odległość przestrzeni
Ruchem powietrza, wywołanym ręką,
Przez struny, w kształcie głosowych promieni,
Łkały, gadały, śmiały się piosenką,
Wpadając w uścisk, dźwięczący akordem —
Ludzie zaś wkoło słuchali zdumieni,
Myśląc, że słyszą skrzypce z klawikordem...

O boska Sztuko! ty i na twarz Cieni
Potrafisz szczęścia wywołać rumieńce!
Ty, z żywych kwiatów włożysz wonne wieńce
Na skroń zmrożoną od wiecznej jesieni! —
Ty, przed momentem bolesnych przebudzeń,
Nim ranek zetrze z ziemi te dwie Śmiercie,

czo za wiele. Czas więc wielki po temu, aby oślica Balaama, która dotąd myślała, czyli inaczej sejm Rzeszy, również przemówiła.

Już od samego początku sławnej i zaszczytnej wyprawy pisma żądały zwołania instytucyi prawodawczej z powodu nadetatowego pomnożenia wojsk. Rząd co prawda ma prawo nie zasięgać rady sejmu w tej kwestyi w razie wojny. Ale wszak nic nie wiemy o tem, aby ktoś komuś ją wypowiedział. Nic nie słyszeliśmy również o tem, aby posłowi chińskiemu wręczono jego listy uwierzytelniające. To też w sferach urzędowych przebąkiwano zlekka o zamiarze dopuszczenia sejmu Rzeszy do udziału w orgii krasomówstwa; zwlekа jednak z ostateczną decyzyą z dwu pobudek: naprzód zniechęcała myśl o deprawującym wpływie, jaki wywrą w tym epokowym momencie oburzające mowy lewicy, a następnie nie chciano narażać posłów na uciążliwą pracę podczas tegorocznych nieznośnych upałów. Zdaje mi się, że obawy te były płonne. Warto spojrzeć na gmach sejmu, aby odgadnąć panującą tam „aurę." Po obu stronach dachu ustawiono uzbrojonych w piki rycerzy: jednego w pikelhaubie, drugiego w czapce z pióropuszem. Gzyms nad oknami składa się z koron, a w dodatku po dzień dzisiejszy napisu jak niema, tak niema. Komisya sejmowa zaproponowała napis „Narodowi" (Dem Volke). Rząd odrzucił ten bezczelny pomysł, nie mogąc w żadnym razie uznać istnienia „narodu" niemieckiego. Posłowie, którzy tylokrotnie chowali do kieszeni najrozmaitsze niepochlebne przydomki, szczodrze nadane im na drodze urzędowej, bynajmniej nie obrazili się z powodu takiej bagateli. Miałyżby te potulne owieczki zmącić podniosły nastrój chwili dziejowej nieprzyzwoitem beczeniem?! Z pewnością nie. Tresura Bismarcka w las nie poszła. A co do skwaru, to i tu skrupuły są zbyteczne, albowiem w 1880 i 1883 r. upały były jeszcze większe, a jednak w pierwszym wypadku zwołano sejm Rzeszy, a w drugim — parlament pruski. Pisma urzędowe tłomaczą kunktatorstwo rządu oprócz tego koniecznością urlopu dla Bülowa, zmęczonego pertraktacyami dyplomatycznemi. Motyw ten łatwo zrozumieć, zwłaszcza że w niemieckim brak przysłowia odpowiadającego naszemu o tabakierze i nosie.

Wyprawa chińska nie jest pozbawioną znaczenia pod względem teoretycznym. Dzięki niej zdołano w krótkim czasie wyjaśnić, jako tako, kwestyę stosunku Chrystusa do wojny. Rzecz się ma tak. Istnieje tu poroniony embryon partyi, zwany stronnictwem „narodowo-społecznem." Jest to właściwie pierścień, który odpadł od wciąż jeszcze wirującej, ale ustawicznie topniejącej planety Stockerowskiej. Młodzi pastorzy, z Naumannem na czele, obrzydziwszy sobie jezuityzm i antysemityzm „nowoczesnego Lutra," założyli na własną rękę grupę polityczną, a chcąc zatrzeć ślady swego sromotnego rodowodu ideowego, zastąpili w swym szyldzie firmowym słowo „chrześciański" wyrazem „narodowy." W ten sposób program zarysował się wyraźnie: prąd społeczny należało pogodzić z ideałami narodowymi. Na nieszczęście okazało się, iż na rynku politycznym niema zapotrzebowania na tego rodzaju artykuł. Zmieniono tedy odcień przekonań: z narodowej partya stała się urzędowo-militarną. Zaczęto wychwalać pod niebiosa epokową aneksyę wysp Samoańskich, oblewać smołą nienawiści Anglików itd. Gdy wreszcie instynkty krwiożercze zawrzały w piersi niektórych Germanów, pastor Naumann wydał hasło: nie oszczędzać żadnego Chińczyka; rznąć, co się da, kłuć i ścinać, a jeńców masakrować. Tego było oczywiście trochę za wiele, jak na partyę, która domagała się reform społecznych w imię Chrystusa. Pismo *Hilfe*, redagowane przez Naumanna, zalano deszczem protestów. Pierwszy zabrał głos prof. Paulsen, znany etyk. Naumann dowodził, że 50 tys. ewentualnych jeńców chińskich stanowiłoby balast utrudniający pochód. Co począć z takim fantem? „Co począć? — przedrzeźnia Paulsen — nie wiem, ale wiem, że nam nie wolno ich zabijać i że nie będziemy ich zabijali; niemasz oficera niemieckiego, któryby wydał podobny rozkaz, ani żołnierzy, coby go spełnili... Jestem przekonany, że przez wstręt do podobnego przelewu krwi stawialiby opór... Czyż Chińczycy nie są ludźmi? A jeśli są, czyż nie braćmi naszymi i dziećmi jednego ojca?" Jakiś anonim w ten sposób rozdziera szaty: „Gdy widzę, jak obecnie w Niemczech ludzie wzdragają się przed tego rodzaju hasłami, jak wywołują z przeszłości cień Attyli, gdy widzę, jak jednym tchem mówi się o szerzeniu chrześciaństwa w Chinach, a zarazem zachęca się kapłanów do wznoszenia modłów za wytępienie Chińczyków, to zasłaniam oblicze swe i tracę wszelką nadzieję naprawy naszych stosunków społecznych." Pastor Nauman, zażenowany, zauważa głębokomyślnie: „Stanowisko chrześcianina do wojny jest bardzo skomplikowane, ponieważ Chrystus głosił swą naukę i żył w czasach pokojowych (?). Jakże zachowałby się Syn Boży wśród politycznie uzdolnionego narodu, który walczy o swą przyszłość? (!) Czyż i wtedy kazałby nam kochać wszystkie narody?" Maurenbrecher, prawa ręka Naumana, zachęcony cywilną odwagą mistrza, który drukuje w dalszym ciągu co tydzień w *Hilfe* chwytające za serce nabożne kazania chrześciańskie, zadecydował, iż odtąd w sprawach polityki nie należy przytaczać imienia Chrystusa. Przypomina to nieco owych chłopów, co wszczynając bójkę, zasłaniają znajdujące się w pokoju obrazy świętych. Redaktor *Hilfe*, zmartwiony zapędami Naumanna, wyprowadził słuszną konsekwencyę, iż człowiek o takim apetycie krwiożerczym nie może dalej dowodzić zastępami młodych idealistów. Posłuchajmy nakoniec jego lamentów: „Płaczę nie nad tem, żeśmy stracili osobistość Naumanna, ale nad tem, że mieliśmy niegdyś idee, które płynęły przez nasze żyły, mieliśmy ideały, dla których można było łudzić się nadziejami i pracować, mieliśmy uczucia, iż wiedzie się nas ku nowym wielkim celom, które chcąc osiągnąć, nie trzeba było wypierać się ani chrześciaństwa, ani Pana naszego Jezusa Chrystusa, ani Jego duchowej puścizny; a był to czas, kiedy wszystko, co paliło się do czynu śród młodszej generacyi teologów, wyciągało ręce swe do Naumanna, a teraz?.."

H. F.

Tydzień polityczny. W sprawie chińskiej zastój: wycofanie wojsk z Pekinu jest jeszcze przedmiotem namysłów przed ostatecznemi postanowieniami, a namysły te naprężają stosunki międzynarodowe. Niemcy i Anglia zarysowują się w jednej grupie, Rosya i Francya w drugiej. Stany Zjednoczone stają pośrodku, gotowe bądź cofnąć się, bądź pozostać, z większą wszakże skłonnością do opuszczenia Pekinu, z powodu zbliżających się wyborów prezydenta rzeczypo-

Dasz im godzinę czarujących złudzeń
W zagranym razem, jak ongi, koncercie!...

Upiór mężczyzny wsparł na piersiach skrzypce,
Upiór kobiety siadł przy klawiaturze...
Za nimi księżyc ogromny stał w szybce
I z góry w okno jasność lał jak z cebra,
Co się na ziemi zbierała w kałuże,
Na Widmach kładła wielkie płachty srebra
I rozpylała się w srebrne w krąg kurze —
Wionęły szybkie z pod palców pasaże,
Jakby wiatr strząsnął z drzew kropelki rosy,
Jak gdyby muszki brzęczały i osy —
Był to wtór niby grany na gitarze...
Aż śpiew wypłynął z akompaniamentu,
Rozbity na dwóch instrumentów głosy
Wśród drobnych nutek całego odmętu...
Jak gdyby całe wtórzyły niebiosy
Chórem z najdalszych głębin firmamentu
Dwóm Archaniołom, śpiewającym w parze
Tekst jakiejś wzniosłej, uroczystej Glossy.

Opadną z płaszczów natchnione Widm twarze —
W górę wzniesionem, gorejącem okiem
Widzą przez niebios błękitne witraże
Z życia rajskiego odbite miraże.

Czasem z klawiszów dłoń milcząco zwieśnie,
A smyczek nizko głębiej struny porze...
Brzmi rzewny minor po wzniosłym majorze,
Grajek do jęku struny palcem ciśnie,
A potem smyczkiem wionie w górę skali,
Gdzie na najwyższej jak włos nutce pryśnie!...

I znów posypie się grad drobnych nutek —
Smyczek na strunach, jak na chybkiej fali,
Od wichru w poprzek miota się, kołebie;
Zgrzytnie dysonans; pogłębia się smutek;
Wzrasta namiętna muzykantów wena...
Aż znów, jak księżyc ten srebrny po niebie,
Ruchem ramienia i smyczka szerokim
Ta sama wzniosła, rzewna kantilena
Popłynie wielkim, rytmicznym potokiem
Z symfonii cis mol mistrza Bethovena.

Co raz na innym Czas dzwoni zegarze
Za fronton blada zapada Selena,
Jak mniszka wchodząc w długie korytarze,
Uformowane przez wieczne jawory —
Ale swój koncert grają wciąż Upiory!

Tylko dla ludzi... jest to niema scena!
Żaden dźwięk z szybko biegnących klawiszy,
Żaden ton śpiewny wydany przez skrzypce
Nie wpada w morze absolutnej ciszy!
Nie budzi nawet dziecięcia w kołebce...
Muzyki duchów nikt z żywych nie słyszy.

Chyba na jakimś z bliższych gwiazdozbiorów
U żeglującej jakiej gwiazdy steru
Ktoś z czuwających duchów towarzyszy,
W pół wychylony nad bezdnią eteru,
Słucha nocnego duetu Upiorów.

Nareszcie kończą fantastystycznym *scherzem* —
Chwilę wsłuchani w dźwięk ostatniej nuty
Powstają wreszcie z miejsc... z rozdartem sercem —
Miały niedługo piać pierwsze koguty...

Jedno za drugiem, jak dwie białe gąski,
Idą już rzędem przez wszystkie pokoje —
Ciemno!... gdzie niegdzie promień wpada wązki
Przez zasunięte ciężkich kotar zwoje. —

spolitej i potrzeby okrojenia wielko-imperyalistycznego programatu. W Waszyngtonie jest jakby kantor wymiany poglądów istotnych i słów wypuszczanych tylko na zwiady. Niemcy nadesłały tam swój pomysł przepołowienia dzisiejszych wojsk w stolicy Chin, a później urządzenia obozu pod miastem z 2,500 zbrojnych i pomnożenia gwardyi poselstw do 1,000. Przy samej zasadzie dalszego trzymania Pekinu Niemcy obstają i nie mogą od niej odstąpić. Taka postawa Wilhelma II, uszanowana przez dyplomacyę, według *Frankfurter Ztng*, otrzymała surową naganę od jednego z panujących niemieckich, w umyślnym liście, który cesarz miał zbyć milczeniem. Dla obrony honoru również prasa niemiecka rozpuszcza kłamliwe trwogi o wielkich masach chińskich. Mas tych potrzeba dla misyi Walderseego.

Rokowania nie zawiązane jeszcze. Li-Chung-Czang zapowiadał wyjazd swój z Szang-haju na 10 b. m., teraz zapowiada go na piątek b. t. Musi jechać przez Tien-tsin, gdzie mogą go u rogatek europejskich zatrzymać i nie puścić dalej, do Pekinu. Konsulowie w Szang-haju uważają go za „zdrajcę," dwulicowego, który do obu stron, do Chin i Europy się umizga. A czegóż oni chcą — żeby się od Chin odwracał? Przyjazd Li-Chung-Czanga nie będzie jeszcze rozpoczęciem narad: poczeka na nie jeszcze i polityk i nowiniarz. Państwa niemogące się zdobyć na wycofanie wojsk, nie odrazu też zgodzą się na warunki pokoju.

Pod Tien-tsinem była rozprawa wojenna z Bokserami, których rozpędzono. W pobliżu Ta-ku zjawił się nagle fort, dotychczas milczeniem osłonięty. zaczęto go zdobywać. Rekonesans na południe Pekinu przekonał, że okolica w kilkunastomilowym promieniu wolna jest od Chińczyków. Cesarz ma się znajdować na północy. Stolicą tymczasową Taj-juen-fu.

Anglicy zajęli d. 6 b. Lyddenburg na północo-wschód Pretoryi, niedaleko granicy portugalskiej. Boerowie wziąwszy już dawniej załogę Ladybrandu w Oranii, zaskoczyli i zabrali całą kompanię angielską, a w innem miejscu cały pociąg. Podsunęli się nawet pod sam Bloemfontein. Z tem wszystkiem sprawa ich stoi źle i Anglicy rozgłaszają już ucieczkę Krugera i Steijna do Lourenço Marquez.

ŻYCIE SPOŁECZNE

PRACA NA KOLEJACH.

Jeżeli przyjrzymy się pracy pary i elektryczności, znajdziemy w tych rozległych dziedzinach niezakłóconą harmonię i proporcyę. Olbrzymie motory za pomocą transmisyj przenoszą swą energię na znaczną odległość, rozdają pracę maszynom stosownie do ich sił i sprawności. Żadna nie ma więcej, niż jej mechanizm na to pozwala, żadna się nie zepsuje, nie rozpadnie z nadmiaru pracy.

Jeżeli przejdziemy do innej kategoryi pracy, która energię swą czerpie z mięśni i mózgów ludzkich, to się przekonamy, jaka tam panuje rozbieżność i nieproporcyonalność. Szczególnie to się daje zauważyć w wielkich machineryach, nieustannie czynnych, jak np. przedsiębiorstwa komunikacyjne. Tam, gdzie jest stałe potrzebne wielkie natężenie energii, ciągła czujność i świeżość sił, zarówno fizycznych jak i umysłowych, tam właśnie istnieją takie warunki, które bardzo szybko wyczerpują ową energię, sprawność fizyczną i umysłową. Typową dziedziną takiej pracy są wydziały ekspedycyi towarowej na kolejach żelaznych, zwłaszcza na stacyach przeładunkowych, i służba telegraficzna na linii. Tam dopiero widzimy całą nieproporcyonalność rozłożenia pracy. Wydziały owe, w których panuje nieustanny ruch gorączkowy, są obsługiwane przez bardzo małą stosunkowo liczbę ludzi. Weźmy np. stacyę tranzytową kolei Wiedeńskiej w Warszawie. Pracownicy są tam na stanowisku bez przerwy przez całą dobę i dłużej. Zadaniem ich jest przyjmować lub wysyłać towary, czuwać nad każdym szczegółem, biegać na znacznej przestrzeni od wagonu do wagonu, pilnować, ażeby plomby nie były naruszone; w razie zaś jakiejkolwiek niedokładności — pisać raporty szczegółowe. Wogóle przyjmowanie lub wysyłanie towarow nie polega tylko na dozorze, lecz nadto wymaga bardzo szczegółowej, zmudnej pisaniny. Dotychczas nie pomyślano o jakichkolwiek uproszczeniach w tej mierze! Pracownik może wypełniać tysiące schematów, rubryk, rubryczek, które dałyby się sprowadzić do paru kategoryj i oszczędziłyby urzędnikowi dużo czasu. Dziś wprost nie może on podołać tej pracy; musi pisać szybko, gorączkowo, po całych dniach i nocach przy lampkach kopcących, w zaduchu i ciasnocie. Biuro tych pracowników gorsze jest od nory nędzarza. To też urzędnik schodzi z „dyżuru" z zaczerwienionemi powiekami, jak gdyby miał egipskie zapalenie oczu, wyczerpany zupełnie. Urzędnik, przyjmujący towary z obcych kolei, ma dyżury po 26 godzin, podczas wielkiego ruchu od 6-ej rano do 8-j rano dnia następnego, poczem ma osiem godzin wolnych, które musi zużyć na posiłek i sen, gdyż do czuwania lub jakiejkolwiek rozrywki nie byłby zdolnym. Po tak długim i uciążliwym dyżurze już o 6-ej wieczorem tegoż dnia, którego zeszedł ze służby, musi znowu iść do biura, ażeby zapisać wszystkie dowody z dostawy towarów. Całe więc życie takiego urzędnika składa się ze stacyi tranzytowej i łóżka, za to zaś pobiera on pensyi 450—600 rb. rocznie! Dodajmy, że istnieje rozporządzenie ministeryalne, wzbraniające dyżurów 24-godzinnych na kolejach żelaznych. Zarządy kolejowe nie zastosowały się jednak do niego. To też urzędnicy podczas służby na stacyach przeładunkowych, zupełnie wyczerpani długiem czuwaniem, zasypiają nawet stojąc przed wagonami. Czyż można się dziwić, że czasem robią omyłki w raportach, za co, mówiąc nawiasem, karani są wysokiemi grzywnami (czasem przewyższającemi pensyę roczną), albo nawet dymisyą.

Nie lepiej jest gdzieindziej. W ekspedycyi towarowej na stacyi „Praga Terespolska" jest 40 pracowników z płacą od 300 do 900 rb. rocznie. Praca od godz. 8 do 4 w zimie, bez przerwy, a w lecie od 8 do 5-ej po południu, ale niewielu może skończyć robotę dzienną przed godziną 9 lub 10 wieczorem, a nawet później. Na obiad nie wolno wychodzić. W biurze ciągła wrzawa, zgiełk, natłok interesantów, wstać od biurka nie można ani na chwilę. Przytem pomieszczenie tak ciasne, że pracownicy potrącają się łokciami. Smród i brak powietrza jeszcze bardziej się przyczyniają do szybkiego wyczerpania sił.

Kontrolerzy wagonów mają służbę mo-

Idą... a na nich przeszłości godziny
Lecą, jak z ula ruszone pszczół roje...
Które po kątach tej starej budowy
Spały, w głębokie schowane szczeliny,
Przez nich z tej śpiączki zbudzone zimowej.

Szczelnie płaszczami otuliwszy głowy,
Idą przez sale, sienie i alkowy...
Gdzieniegdzie staną, gdzieindziej posiedzą...
I jednym gestem, bez użycia mowy
Wzrokiem, uśmiechem sobie wypowiedzą,
Co się gdzie działo i co w takiej chwili
Do siebie niegdyś w tem miejscu mówili...
Pamięć im dawne powtarza rozmowy
Zawsze tak samo, jak zegar kuranty,
Temi samemi głosami i słowy,
Aż rzeczywistość stopnieje w złudzeniu
I cień uśmiechu okrasi twarz Cieniu,
Oczy u Widem błysną jak brylanty!

W końcu z uczuciem bezdennego smutku
Na klęczkach ziemię całując i progi,
Opuszczą wreszcie dom tak dla nich drogi
I idą jeszcze błądzić po ogródku...

Na miękich trawach w środku wirydarza,
Gdzie młodzież grała w swoje gry odświętne,
Panuje cisza wiejskiego cmentarza...
Księżyc oświetla latarką grabarza
Miejsca, weselem młodości pamiętne.

Zioła, krzewiny, drzewa obojętne
Stoją te same na łanach ogrodu
Z tak samo świeżem i kwiecistem czołem
Dziś, kiedy serca ich są już popiołem,
Jak za dni szczęścia przeszłego, za młodu —
O ileż one lepszą mają dolę,
Niż serce ludzkie, które nie jest ziołem,
Szczęśliwsze stokroć lipy i topole!
Skłoniwszy głowę na piersi brat bratu,
Przeszumią życie i uschną tu społem...
Wiosna co roku daje im odnowę:
Zielone liście, snop świeżego kwiatu —
Oni raz tylko kwiat mieli na czole
I raz im tylko śnieg upadł na głowę
I już na wieki wieków są popiołem!

Kwiaty, trawniki, drzewa obojętne!
Jakiż to szelest nad Umarłych głową?
Jest-że to w waszym języku rozmową,
Przekazującą zdarzenia pamiętne?

O, trawy, kwiaty i drzewa pamiętne
Z pamiątek ziemi! — o czem wy szumicie
Tak przenikliwie i tak uroczyście
W te wspomnień noce?— opowiedzcie Cieniom.
Może prowadząc wieczorną gawędę
Na jakieś stare temata i smętne,
Szumicie o ich miłości legendę?
Może w pieśń waszą już przeszło ich życie,
Opowiedziane przez współczesne liście,
Które kochanków znały — pokoleniom
Liści następnym? — tak że wiekuiście
Będą ten romans szeleściły liście...
Powiedźcie drzewa, czyżbyście odgadły,
Że to są oni! — oni są, te Mary,
Które na ławce kamiennej usiadły,
Gdzie jest kolumna z kamiennym festonem,
Na niej nadbita urna i dwie czary
I stół porosły w szparach mchem zielonym...

zolną; w dzień i w nocy, bez względu na stan pogody i temperatury, muszą pociąg przyjąć, numery wagonów zapisać, plomby zrewidować, bo się za to odpowiada. Wogóle wynagrodzenie wszystkich pracowników w stosunku do przeciążenia i ich potrzeb niezbędnych jest bardzo marne. Stróż magazynu pobiera 15 rubli miesięcznie, z tego zaś strąca mu się jeszcze procent na emeryturę. Czyż człowiek familijny, chociażby żywił się tylko kartoflami, może się utrzymać wraz z rodziną? Jeden z urzędników zakończył swoje opowiadanie nam o nim takiem sarkastycznem pytaniem: „Czy ma on pilnować, ażeby ktoś nie kradł towarów z magazynów lub wagonów, czy też pilnować się, ażeby ktoś nie zobaczył, jak sam kraść będzie?“ W pytaniu tem niema oskarżenia człowieka, który od kradzieży może być daleko, tylko scharakteryzowanie jego warunków rozpaczliwych.

Zarówno warunki pracy w ekspedycyach towarowych, jak i biurach telegraficznych kolei żelaznych domagają się spiesznej i gruntownej reformy. Czy się robi cokolwiek w tej mierze? Jeszcze w końcu roku 1897 zbierano dane o warunkach pracy telegrafistów na kolejach żelaznych, celem wprowadzenia pewnych reform, przedewszystkiem zaś — zwiększenia płacy tych pracowników. Upływa już trzeci rok od czasu owej „ankiety,“ a nic jeszcze w tej sprawie dotąd nie uczyniono. Jedynym jawnym rezultatem zbierania owych danych były informacye i wskazówki, zamieszczone w *Warsz. Dniew.* (nr. 37 r. 1898) przez jednego z telegrafistów. „Wiadomo, że bezpieczeństwo ruchu osobowego na kolejach — czytamy w tej notatce — zależy przedewszystkiem od akuratności i sprawności telegrafistów. Dla osiągnięcia tego celu niezbędne jest między innemi ustanowienie przepisów, któreby pozwalały przyjmować na służbę telegraficzną tylko ludzi pełnoletnich, rozumiejących dobrze swoje zadanie i fatalne następstwa w razie niesumiennego spełniania obowiązków... Ale taki telegrafista powinien pobierać płacę stosowną, którąby zupełnie zabezpieczyła jego byt i nie zmuszała go do poszukiwania zarobków pobocznych, odrywających od służby.“

Niestety, w rzeczywistości dzieje się zupełnie inaczej: „Na służbę telegraficzną przyjmowani są ludzie zanadto młodzi, od 16 roku życia, którzy zajmując tak odpowiedzialne stanowiska, nie mogą wzbudzać zaufania. Telegrafista stacyjny w zakresie wymiany depesz o ruchu pociągów podlega władzy zawiadowcy stacyi lub jego pomocnika i obowiązany jest spełniać ich rozkazy. A więc rozporządzenia ministra, wzbraniające telegrafiście wypuszczania z rąk depesz bez zaznaczenia ich w odpowiedniej książce sznurowej, nie może być w praktyce przestrzegane, gdyż telegrafista musi słuchać swojego bezpośredniego zwierzchnika; w przeciwnym razie może wywołać niezadowolenie zawiadowcy stacyi i inne nieprzyjemne dla siebie następstwa.“ Otóż, jak słusznie twierdzi autor listu, telegrafiści kolejowi powinni być wyjęci z pod władzy urzędników w wydziale służby ruchu. Na wielkich stacyach biura telegraficzne przyjmują od pasażerów telegramy międzynarodowe (zagraniczne), na wszystkich zaś kolejach w Cesarstwie telegrafiści, posiadający języki obce, pobierają za to płacę dodatkową. Tylko na kolejach tutejszych, pomimo że ruch depesz zagranicznych jest dość znaczny, urzędnicy nie pobierają za to wynagrodzenia osobnego.

„Czy można żądać od telegrafisty gorliwego spełniania obowiązków, skoro ten pobiera tak nędzną płacę — czytamy w *War. Dniew.* — że nie wystarcza jej na pierwsze potrzeby życia?“ Telegrafista etatowy otrzymuje od 25 do 30 rb. miesięcznie; jego zaś zastępca w razie choroby lub nieobecności pierwszego, pobiera zaledwie 20 rb.! „Przecież prosty robotnik niepiśmienny, który w dzień rąbie drzewo, w nocy zaś śpi, zarabia więcej, niż telegrafista kolejowy, który spędza całe noce przy aparacie i czuwa nad bezpieczeństwem pociągów i tysięcy podróżnych. Nie ma on żadnych świąt, spełnia swoje dyżury nawet na Boże Narodzenie, Nowy rok i Wielkanoc.“

Są tacy, którzy pracują na kolejach tutejszych od czasu ich otwarcia (urzędnicy wyżsi, zarządzający stacyami telegraficznemi), a jednak pobierają mniej, niż połowę pensyi swoich kolegów z kolei Wiedeńskiej, zajmujących takie same stanowiska i przez lat dziesiątki nie mogą się doczekać najmniejszej podwyżki, podczas gdy pracownicy z innych wydziałów otrzymują podwyżkę niekiedy dwa razy do roku.

Taki stan rzeczy scharakteryzował telegrafista kolejowy w r. 1898. Czy się cokolwiek zmieniło na lepsze do chwili obecnej? Ściągnęliśmy odpowiednie informacye ze źródła i oto jak one przedstawiają obecne warunki pracy telegrafistów kolejowych. Przyjmowani są dziś na służbę jeszcze młodsi, niż przed paru laty. Wprawdzie są to aplikanci, ale bądź co bądź dzieci, które często w braku pełnoletnich zajmują ich miejsca. Główną przyczyną poszukiwania pracy malców jest jej taniość. Oto co nam pisze jeden ze świadomych rzeczy: „Dawniej przyjmowano na telegrafistów ludzi młodych, posiadających przynajmniej elementarne wykształcenie. Bywali także ze świadectwami z klasy 4, 6, a nawet z całkowitego kursu gimnazyum. Przesłużywszy lat kilka w telegrafie, mogli na mniejszych stacyach obeznać się z czynnościami innych wydziałów: ruchu, ekspedycyi towarów, kasowości itd. Dziś przychodzą ludzie ciemni zupełnie, którym wstęp do biura otwiera protekcya.“ Takim pracownikom, nie posiadającym odpowiednich kwalifikacyj ani moralnych, ani umysłowych, powierzane są stanowiska ważne, losy tysięcy ludzi, podróżujących kolejami żelaznemi! Są to prości wyrobnicy, traktujący swoje obowiązki jako chwilowe zajęcie. Kandydat pobiera 10 rb., potem 15—25 już jako telegrafista. Dyżurny zaś, tj. pilnujący porządku, przyjmujący i kontrolujący depesze, pobiera 35 rb. miesięcznie.“

Czy można wymagać, od ludzi poprzestających na takich warunkach, znajomości języków obcych? Czy można wreszcie za tak liche wynagrodzenie znaleźć pracowników pod każdym względem odpowiednich, tj. posiadających dobre kwalifikacye umysłowe i moralne? Dopóki w tej mierze nie nastąpi gruntowna zmiana warunków, dopóki nie będzie zniesiony system oszczędności, oparty na pracy ludzkiej, póty nie można się spodziewać bezpieczeństwa publicznego na kolejach żelaznych; póty z konieczności rzeczy biura telegraficzne zapełniać będą ludzie niezdolni, niewykształceni, lekkomyślni i bardzo często — ułomni moralnie.

Podobno wkrótce rozpoczną się w wyższych sferach sterniczych narady nad sprawą poprawienia warunków bytu pracowników kolejowych w wydziałach ruchu. Niezależnie od tego sprawa ta ma

---

To oni?!.. oni!? — powtarzają gwary
Pożałowania i wątpienia tonem,
A potem taki szum przeleci drzewa,
Jak tłum, gdy westchnie, zdziwi się, lub zgniewa.

Przez rozwidlone lip czarne konary,
Pomiędzy liści dziurkowane sito
Srebrzyste światło kapie na głaz szary,
A gdy wiatr dotknie liściastej kotary,
Zwierciadełkami krągłemi migoce —
Przy tych światełkach w księżycowe noce
Drogą pamiątkę odnajdują Mary,
Na rogu stołu w kamieniu wyrytą,
Dziecinny pomysł: dwa serca do pary,
Ze strzałą przez nie na wylot przebitą —
U dołu stoją wyryte litery
I data, roku zatarty początek,
Przy końcu tylko widna cyfra *cztery*.

O szczęście ludzkie, miłość! — o chimery!
Przetrwał niezmienny taki skały szczątek
I rylca na nim robota niezdarna,
A miłość?!! — Miłość jest-że więc tak marna,
Że krócej nawet trwa od swych pamiątek?!

Lecz już na niebie tleje dnia początek!
Księżyc przebiegłszy niebieskie etery,
Złocistą barką zawija do brzegu,
Śpi dawno słowik u róż na noclegu,
Ranne wiaterki trwożne czyniąc szmery,
Latają żywo w bzów gęstym szeregu,
A Mary idą spiesznie przez szpalery
Jeszcze na miejsce ostatniej z pamiątek...
Za bramą na krzyż rośnie topol cztery,
Gdzie między dwoma ścianami jest kątek,

Obok gościnice samym brzegiem rzeki,
Która się srebrzy przez drzewin firankę,
Idzie w świat czarnym pobrużdżonym szlakiem —
Tam jadąc, żegnał kochanek kochankę...
Był to pamiętny dzień Zielonych Świątek,
Pachniało zewsząd świeżym tatarakiem,
Czerwony zachód minął po dniu spieki
I dwie na niebie zajęły się gwiazdy,
Gdy zaszedł powóz, gotowy do jazdy
I oni krótko bez oczów zmrużenia
Wesoło sobie rzekli: „do widzenia“ —
A do widzenia to było na wieki! —

Roskoszy wspomnień! o, świecące próchno!
Wreszcie już wszystko zwiedzą—wszystko wspomną,
Wtedy im tylko staje się przytomną
Prawda okropna!... więc płaczem wybuchną...

Z tym płaczem sobie na piersi upadną,
W pół się przez plecy opaszą rękoma,
Głowy schylone na ramię pokładną
I zastygają posągami dwoma.

W tym ich kamiennym zastaje uścisku
Świt, powstający z perłowej pościeli,
Który odziewa je w sine sukienki,
A potem w świateł roztapia kąpieli...
Tak rozpływają się w ros wodotrysku
I rozwiewają w promieniach jutrzenki...

być poruszona na jednym z najbliższych zjazdów kolejowych. Warto więc, ażeby się zawczasu postarano o materyał dowodowy, możliwie najdokładniejszy i najobfitszy, tj. ażeby nie zbierano danych o warunkach pracy i bytu przez lata całe i nie chowano tego materyału w folialach, które wraz z innymi szpargałami idą na makulaturę i ze sprzedaży handlarzom kapotowym dają kolejom żelaznym dochód dodatkowy. Zwykle na zjazdy są delegowani naczelnicy różnych wydziałów. Od ich informacyj zależy przedstawienie takie lub inne obrazu gospodarki danej gałęzi. Niechże ci panowie postarają się istotnie przyjrzeć z blizka całej machineryi pracy na terytoryum swojej działalności zwierzchniczej, niech nie poprzestają na podpisywaniu raportów, kar i dymisyj, lecz głębiej wejrzą w istotę rzeczy. Niech, poznawszy warunki zblizka, zdobędą się nietylko na sąd rzetelny i bezstronny, ale i na własne wnioski, wskazujące najprostsze drogi naprawy warunków. Takim tylko sposobem pożądane reformy mogą być pospiesznie w czyn wprowadzone.

Zen. Piet.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 8 września.

Ankieta w sprawie pracy nocnej.

Z powodu zbliżania się międzynarodowego kongresu prawodawstwa robotniczego minister handlu i przemysłu, Millerand, rozesłał w lutym r. b. do inspektorów fabrycznych kwestyonaryusz, dotyczący pracy nocnej w zakładach przemysłowych, stanu prawodawstwa w tym względzie we Francyi i za granicą, skutków społecznych i ekonomicznych; możliwości jej zniesienia lub ograniczenia, oraz szczególniej — potrzeby międzynarodowego porozumienia się w tym celu. Jedenastu inspektorów okręgowych, których posiada Francya, a mianowicie w Paryżu, Limoges, Dijon, Nancy, Lille (p. Jaraczewski), Rouen, Nantes, Bordeaux, Tuluzie, Marsylii i Lyonie, nadesłało sprawozdania oparte z kolei na odpowiedziach podwładnych im inspektorów departamentowych. Zbiór tych sprawozdań, wydany drukiem przez ministeryum handlu i przedstawiony kongresowi prawodawstwa pracy, mam właśnie przed sobą. Widać z niego, że francuscy inspektorowie fabryczni po większej części bardzo sumienni, a nawet skrupulatnie pojmują swoje zadanie i odznaczają się szczerą życzliwością dla tych, którymi w myśl prawa opiekować się mają.

Praca nocna, czyli od godz. 9 wieczór do 5 rano, została po raz pierwszy zakazana we Francyi prawem z d. 19 maja 1874 r., ale tylko dzieciom obojga płci do lat 16 i dziewczętom do lat 21; dopiero prawo z d. 2 listopada 1892 r. rozciągnęło ten zakaz na kobiety wszelkiego wieku. Mężczyzn zakaz ten zupełnie nie dotyczy; a i co do tamtych kategoryj, istnieje cały szereg wyjątków. Tak np. wolno było dotychczas pracować od g. 4 rano do 10 wieczór, pod warunkiem jedynie, aby pracowały dwie zmiany, każda nie dłużej nad 9 godzin: ostatnie prawo z d. 30 marca r. b. zniosło wszelkie zmiany, wszelkie komplikacye w rozkładzie roboty, które tylko uniemożliwiały inspektorom kontrolę. Prócz tego jednak dopuszczone są następujące wyjątki: niektóre fachy, mające specyalne sezony nadprodukcyi, jak np. krawiectwo damskie, mogą 60 razy do roku przedłużać pracę do godz. 11 wieczorem; w innych, zmuszonych stosować się do wymagań gorączkowego życia współczesnego, jak np. składanie gazet wydrukowanych, dozwolona jest nocna praca kobiet, ale bardzo krótka, najwyżej siedmiogodzinna; w gałęziach, gdzie wymaga tego materyał surowy, który mógłby inaczej się zepsuć, jest np. opakowywanie złowionych ryb, dozwolona jest praca nocna w pewnych porach roku, nieprzekraczająca dziesięciu godzin; dalej, w fabrykach „o ciągłym płomieniu,“ hutach itp., gdzie nie można gasić ognia, dopóki się nie ukończy pewnej ilości produkcyi; wreszcie, w razie zepsucia się maszyn, wypadków nieszczęśliwych itp., inspektor może pozwolić chwilowo na pracę nieprzerwaną.

Inspektorowie wogóle skarżą się mocno na te wszystkie wyjątki, jeden z nich przypomina wyrażenie pewnego senatora, który w następujący sposób parodyował prawo z r. 1892: „§ 1. Praca nocna jest wzbroniona. § 2. Niezupełnie. § 3. Prawie wcale nie. § 4. Wcale nie, ale jest zakazana.“ „Wyjątki są plagą każdego prawa“ — mówi inny. A już ze szczególną jednomyślnością potępiają wszyscy tolerowanie pracy wieczornej nadprogramowej w gałęziach mody, nie mając dość słów oburzenia dla „nieubłaganej,“ „bezmyślnej“ klienteli kobiecej, która, przychodząc z zamówieniami w ostatniej chwili i żądając wykończenia ich natychmiastowego, zmusza przedsiębiorców do przedłużenia dnia roboczego. W Paryżu i niektórych większych miastach zdarza się nieraz, że robotnice w pracowniach mód zajęte są bez przerwy 36 godzin! Ale nie mówiąc już nawet o takich krzyczących wykroczeniach przeciw prawu, które jednakowoż są nadzwyczaj trudne do skonstatowania, bo gdy inspektor przychodzi, to zastaje drzwi zamknięte, a gdy mu je otwierają, to robotnice są już pochowane; jeżeli nawet przekroczenia są stwierdzone, narażają winnych na drobne jedynie kary pieniężne i nie zapobiegają recydywie (sławny krawiec Paquin karany był za nie 101 razy, co nie przeszkadzało zresztą p. Millerandowi ozdobić pierś jego krzyżem Legii honorowej), nie mówiąc o tem — nawet zwykłe, prawom dozwolone przedłużenie pracy do 11-ej w nocy 60 razy do roku ma pod względem fizycznym i moralnym skutki okropne. Pod względem fizycznym: bo robotnice, nie jedząc od południa, mają jakieś kilka minut czasu o 7-ej wieczorem na spożycie kawałka chleba i czekolady, a na porządny posiłek muszą czekać, aż powrócą o północy do odległego nieraz domu. Pod względem moralnym: bo dziewczęta, na które czatują bogaci kusiciele, wyjęte są z pod kontroli rodziców, którym opowiadają, że kazano im pozostać w zakładzie. To też inspektorowie jednomyślnie domagają się jaknajprędszego i bezwzględnego zakazu przedłużania pracy w tych zakładach, nie czekając nawet wcale na porozumienie się z innemi państwami. Kiedy nie będzie absolutnie żadnej możności zmuszenia robotnic do pracy nad siły, to elegantki z konieczności nauczą się tego, do czego nie może ich skłonić wzgląd ludzkości i rozsądku: do robienia zamówień w innej, wcześniejszej porze.

Przy składaniu arkuszy gazet i broszurowaniu katalogów przemysłowych (które ze względów konkurencyjnych muszą być trzymane w tajemnicy do ostatniej chwili), pracuje kobiet stosunkowo niewiele, ale jednak jest to praca bardzo wyczerpująca z tego względu, że robotnice, nie mogąc się utrzymać z zarobku w jednym warsztacie, pracują oprócz tego w dzień w innych; przekroczeniu *maximum* godzin pracy niepodobna zatem przeszkodzić. Inspektorowie są za jej zakazem zupełnym dla kobiet i tej kategoryi, bo mogliby je zastąpić mężczyzni za trochę wyższą zapłatę, ale zresztą ta kwestya nie ma wielkiej wagi, bo są już robione próby z maszyną do składania i broszurowania, która lada chwilę zostanie wprowadzona i obsługiwana będzie pewno przez mężczyzn.

Szersze znaczenie posiada kwestya pracy nocnej we właściwym wielkim przemyśle, i rozpatrując ją w tej kategoryi, inspektorowie mają już na względzie nietylko pracę nocną kobiet i młodzieży, ale i mężczyzn — pracę nocną wogóle. Trudno tu już bowiem dzielić robotników na kategorye. W wielkim przemyśle kobiety i młodzież bardzo rzadko pracują zupełnie samodzielnie, po większej części oddziały ich stanowią niezbędne dopełnienie oddziałów męzkich, albo też pojedynczy robotnik dorosły — jak w hutach szklanych — nie może się obejść bez pomocy chłopców. Z dozwolonych wyjątków korzystają też tylko przemysłowcy, mający personel mieszany i u których mężczyzni pracują w nocy. Pod względem zgubnych następstw niema też wielkiej różnicy między pracą nocną kobiet a mężczyzn. Wprawdzie kobieta męczy się dodatkami, bo zamiast spać w dzień, musi zajmować się jeszcze gospodarstwem, ale i dla mężczyzny co to za sen, gdy naokoło, w ciasnem mieszkaniu, ruch i hałas? Wprawdzie kobiety cierpią na tem okrutnie jako matki; pewien robotnik, zeznając przed komisyą ankietową r. 1892, oświadczył, że dzieci, które rodziła jego żona w czasie, gdy pracowała nocami, wszystkie albo przyszły na świat martwe, albo zmarły w pierwszych dwóch latach życia. Ale praca nocna jest najgłówniejszą rzeczniczką alkoholizmu, a ten oddziaływa zwyradniająco na przyszłe pokolenia zarówno przez ojców, jak przez matki. Pod względem patryotycznym, jeśli chodzi o zapobieganie wyludnieniu kraju, o podniesienie poziomu sił i zdrowia rekrutów, praca nocna wszystkich robotników jest godna potępienia: w okręgach tkackich na północy procent niezdatnych do służby dochodzi 50, gdy w rolniczych dosięga najwyżej 25 *). Wprawdzie akademia medyczna, trzymając się ściśle zakreślonego obrębu zadanego jej przez ministeryum pytania, wypowiedziała się jednomyślnie, na wniosek swego referenta, dr. Richarda, za bezwzględnym zakazem pracy nocnej kobiet tylko: ale oto inspektor Blaise z Rouen przytacza doświadczenie Pettenkofera i Veita, którzy wykazali, że robotnik normalny, zajęty 9 godzin przy średnio ciężkiej robocie, traci o 192 gr. tlenu więcej, niż go wchłania, czyli ilość, której nawet spoczynek nocny w zupełności nie wynagrodzi. Dr. Hecyler z Bazylei na tej zasadzie dowodzi koniecznej potrzeby odpoczynku jednego dnia w tygodniu, aby pokryć deficyt zsumowany; a cóż dopiero się dzieje, jeśli praca trwa w nocy, a w dzień odpoczynek nie jest równoważny nocnemu?

Jednem słowem, z punktu widzenia hygienicznego i ogólno-społecznego, wszyscy inspektorowie są za zupełnym zakazem pracy nocnej. Różnica polega na tem, że jedni w większym, drudzy w mniejszym stopniu uwzględniają specyalne interesy przemysłu, a raczej właściwe przedsiębiorcom interesów tych pojmowanie. Zakłady przemysłowe, czynne w nocy, dadzą się podzielić na dwie kategorye: te, które czynią to ze względów technicznych, bo sam rodzaj produkcyi nie pozwala na przerywanie fabrykacyi, i te, gdzie decyduje czynnik czysto ekonomiczny: chęć zwiększenia produkcyi przy tych samych kosztach lokalu i prawie tych samych — ogólnego urządzenia maszyn itd. „Jedyna rzecz — powiada dr. Proust, prezes komisyi hygienicznej — która zmusza właścicieli przędzalni do pracowania nocą — to chęć zarobienia 7—10 centimów więcej na kilogramie bawełny.“ Otóż dla tej drugiej kategoryi i większość inspektorów nie jest wcale tkliwa. Bynajmniej nie wszyscy przedsiębiorcy, nawet w przemyśle tkackim i przędzalniczym — powiadają oni —

*) Raport p. Lagarda z Marsylii.

praktykują pracę nocną; ci, co to czynią, mają jedynie na celu odebranie kolegom wszystkich zamówień i skoncentrowanie ich u siebie; ale też koledzy skarżą się, że wytwór ich jest znacznie gorszego gatunku, obniża ceny i doprowadza całą gałęź do ruiny *). Ci chcieliby bardzo, aby prawo zakazało pracy nocnej wszystkim, nie czekając na porozumienie międzynarodowe, bo oni, nie pracując nocą, wytrzymują przecie konkurencyę z zagranicą. Dla podobnych powodów już w r. 1848 zgromadzenie przędzalników północnych w Reims prosiło rząd o zniesienie pracy nocnej. W r. 1898 znowu przędzalnie bawełny, chcąc zapobiedz nadprodukcyi i spadkowi cen, nie zawahały się za wspólną umową przerwać fabrykacyę na jeden dzień w tygodniu — wytrącając go z płacy robotników; wtedy wysunięto myśl zniesienia pracy nocnej, a okoliczność ta po części spowodowała właśnie niniejszą ankietę. Dla zapobieżenia nadprodukcyi i spadkowi cen kongres młynarzy w r. z. również chciał znieść pracę nocną; lecz sprzeciwili się temu młynarze drobni, którzy muszą pracować dzień i noc, gdy im woda płynie, bo i tak stają zupełnie, gdy wody lub zamówień brak. W r. 1896 papiernie w depart. Haute-Vienne, które wytwarzają pewien specyalny gatunek papieru, widząc też, że nadmiar produkcyi zaczyna obniżać ceny, umówiły się na rok przerywać robotę w niedzielę; co świadczy — powiada dzielny inspektor z Limoges, p. Despeaux — że przerwa produkcyi możliwa jest nawet w zakładach przemysłowych, które prawo umieszcza w kategoryi „o ciągłym płomieniu.“ I wogóle, zdaniem kilku inspektorów, dość trudno jest przeprowadzić ścisłą granicę między fabrykami, używającemi pracy nocnej z przyczyn technicznych, a temi, które mają po temu względy ekonomiczne. Dlatego radzą oni nie wyliczać w prawach i dekretach tych kategoryj, którym praca nocna ze względów technicznych jest dozwolona, bo wyjątki te czynią nadużycia nieuniknionemi, a natomiast osiągnąć tenże rezultat inną drogą: pozwolić na używanie do pracy nocnej jedynie i wyłącznie mężczyzn, a bezwarunkowo nigdy kobiet i dzieci, oraz nakazać, aby w takim razie pracowały trzy różne zmiany, każda po 8 godzin. Zdaniem projektodawców, kosztowność takiej pracy nocnej zmusi fabrykantów do uciekania się do niej rzeczywiście jedynie w tych wypadkach, kiedy sama technika tego nieodzownie wymagać będzie.

W tem miejscu na uwagę zasługują poglądy p. Gouttes'a, inspektora z Bordeaux. Kładzie on główny nacisk na to, że możność pracy nocnej i wogóle przedłużania dnia roboczego, stoi na przeszkodzie rozwojowi narzędzi produkcyi. „Interesy właścicieli tego narodowego uzbrojenia technicznego znajdują się w sprzeczności z ogólnymi interesami kraju.“ W interesie kraju leżałoby bowiem, aby to uzbrojenie w narzędzia było jak największe, większe, niż tego wymagają potrzeby normalne. Autor raportu byłby spokojny dopiero wtedy, gdyby połowa kapitału stałego i tylko praca dzienna zaspakajały normalne potrzeby kraju; wtedy w czasie wojny i innych wypadków nadzwyczajnych możnaby podwoić wysiłek i nie być tak bezsilnym, jak przemysł francuski w r. 1870, który nie umiał zaspokoić potrzeb wojsk narodowych. Tymczasem wystawa tegoroczna dowiodła, że przemysł francuski nie jest w stanie zaspokoić wzmocnionych potrzeb bez pomocy zagranicznego! Aby go skłonić do rozwijania narzędzi, p. Gouttes jednak nie jest za absolutnym zakazem przedłużania dnia roboczego i pracy nocnej, to miałoby raczej odwrotny skutek, bo przemysłowiec, zamknięty w zbyt ciasnych granicach, musiałby nieraz odrzucać zamówienia, do których może brakowałoby mu kilku dni pracy dodatkowej, więc narażałby się na bezrobocie. Natomiast gdyby miał prawo pracować w nocy i wogóle ponad normę, ale zmuszony był prawem płacić za taką pracę podwójnie i potrójnie, to doświadczenie rychło by go nauczyło, że korzystniej jest rozszerzyć fabrykę, wzbogacić tem samem narodowy kapitał stały. Tu p. Gouttes spotyka się ze swymi kolegami.

W niemniej oryginalny sposób krytykuje on starania o międzynarodowe prawodawstwo pracy. Zamiast czekać na urzeczywistnienie tej utopii, i tu należy oddziaływać pośrednio: gdyby rzeczywiście krajowi o wyżej rozwiniętem prawodawstwie fabrycznem groził zalew jego rynku wewnętrznego przez przemysł obcy, produkujący taniej dzięki swobodniejszemu wyzyskowi siły roboczej, to wtedy taryfa celna powinna przywrócić równowagę; zadaniem jej będzie wtedy bronić wyższych form społecznych, a nie opóźniać rozwoju techniki i narzędzi. Co do konkurencyi eksportowej, to zdaniem p. G., powinna być wywożona jedynie przewyżka wytworów ponad potrzeby kraju, a w takim razie, dla powyższych również motywów, rząd może i powinien popierać *taki* wywóz pewnego rodzaju premiami, polegającemi na zwrocie podatków itp.

Wszelkie projekty międzynarodowego prawodawstwa pracy mają, zdaniem p. Gouttes'a, na celu jedynie opóźnienie reform. Wielu innych inspektorów, nie wdając się w takie, jak on, nieco paradoksalne pomysły, podzielają ten pogląd. O potrzebie porozumienia się z innemi państwami przed nałożeniem przemysłowi narodowemu nowych pęt, mówią raczej ci inspektorowie, którzy wykazują większą dbałość o interesy przedsiębiorców, jak pp. Jaraczewski z Lille i Le Roy z Tuluzy. W dodatku dość sceptycznie zapatrują się oni na wartość podobnego prawodawstwa. Kto będzie pilnował jego wykonania? Każdy kraj będzie je stosował do potrzeb swego przemysłu. Od czegóż wyjątki? Trzebaby chyba — pisze p. Jaraczewski — ułożyć ścisłą międzynarodową listę wyjątków *ne varietur*. Inspektorowie, którzy pragną zupełnego zakazu pracy nocnej, jak w jedynej Szwajcaryi, radzą nie czekać na inne państwa, a już w każdym razie uważają za zupełnie możliwe wprowadzenie tego zakazu w dość licznych gałęziach, które produkują wyłącznie dla rynku krajowego i nie ulegają konkurencyi obcej.

Streszczone powyżej raporty stanowiły najważniejszy przyczynek do dyskusyi nad pracą nocną na kongresie międzynarodowym prawodawstwa pracy, do którego powrócimy jeszcze.

K. Radosławski.

*) Chambard, inspektor z Nancy.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozwiązywanie zagadnień politycznych.

Społeczeństwa ucywilizowane nie są nigdy podobne do głębin morza, do których nie dochodzą ani odgłosy, ani odblaski życia jego powierzchni. Jeżeli nawet nie uczestniczą w Olimpie, rządzącym losami świata, to w każdym razie jak ziemia, mocniej lub słabiej, odczuwają wszystkie jego drgnienia. Pomimo różnic stanowią one z innemi spójny organizm, po którym krążą te same idee, myśli i uczucia.

Na początku lata czytałem w jednej z gazet warszawskich takie zdanie: „Podczas gdy Filharmonia nie ma jeszcze kapitału na budowę własnego domu, my zastanawiamy się nad tem, czy by nie posłać jakiegoś zasiłku Burom, którzy nas ani ziębią, ani grzeją.“ Zdanie to nie było oderwanym wyrzutem jakiejś zasmuconej duszy, lecz znaną przestrogą naszej swojskiej Minerwy, która nam ciągle powtarza z podniesionym palcem: „dzieci, zbyt zajmujecie się polityką!“ Wyznaję, że osobiście podzielam jej gust i nie lubię polityki. Zdaje mi się bowiem, że przez nią staję się pająkiem w izbie tkacza, który naśladując go, snuje nikłą i wątłą sieć, zdolną zaledwie utrzymać swego twórcę.

— Wyobraź pan sobie — mówił do mnie pewien przenikliwy publicysta — jaki miałem wypadek. Idę ulicą i widzę, że tłum zadziera głowy do góry. Patrzę — zwyczajny balonik unosi się w powietrzu. Zaledwie oddaliłem się kilkanaście kroków, chcę zobaczyć, która godzina — nie mam zegarka — skradziono mi go w tej krótkiej chwili. Zaręczam, że rzezimieszkowie umyślnie puścili balonik, ażeby skorzystać z zapatrzenia się przechodniów... A wiesz pan, jaką sztukę wymyślił Bismarck?

— Puścił balonik...— odrzekłem.

— Do pewnego stopnia — tak, ale na podobne kawały może on brać tylko zwyczajnych gapiów...

I przenikliwy publicysta był głęboko przekonany, że on, który dał się zwieść rzezimieszkowi, dojrzał ukryte sprężyny najprzebieglejszego polityka. Sto razy zdarzało mu się, że patrząc na ruchy jego ołówka, odgadywał, iż kanclerz pisze wyraz: *wojna* lub *pokój*, a tymczasem później okazywało się, że on pisał: *fartuch* lub *Windhorst*.

Nigdy prawda nie ma tak stanowczego tonu, jak kłamstwo. A ponieważ gazety polityczne dla nadania sobie powagi kłamią i kuszą czytelników do wyciągania stanowczych wniosków, które często tyle mają wspólnego z rzeczywistością, ile Sinobrody z Królem-duchem, więc o ile mogę, wymiatam z mojej głowy politykę, a właściwie zawartość koszów ministeryalnych, wyrzucaną na śmiecie, którą skwapliwie zgarnia do swych szpalt prasa. Mimo to wszystko, gdy usłyszałem jęk filharmonisty, narzekającego na zajęcie się Burami i gdy wogóle czytam psalmy żalu na naszą politykomanię, powtarzam sobie: społeczeństwa ucywilizowane nie są głębinami morza...

Niejeden z uczniów rozwiązuje takie zadanie arytmetyczne: jeżeli sprzedasz sto koni i za każdego następnego otrzymasz rubla więcej, niż za poprzedniego, a nadwyżka za ostatniego wynosić będzie cenę pierwszego, ile razem ci zapłacono. Przypuśćmy, że uczeń powie do nauczyciela: „panie profesorze, ja tego zadania rozwiązywać nie będę, gdyż koni nie mam i nie sprzedawałem, a cały mój majątek składa się z 5 kopiejek na bułki i herbatę podczas pauzy.“ Z pewnością wybuchnąłby ogólny śmiech. A czy jest równie śmiesznym człowiek ukształcony, który powie: ponieważ ja nie mam żadnego interesu w Transwalu, nie wysłałem tam ani okrętów, ani wojska, więc co mnie obchodzi wojna Anglików z Burami?

Przez wiosnę i początek lata zajmowaliśmy się nią tak zawzięcie, że nawet Wojciech Dyrda i Wawrzyniec Łysak, ile razy mnie spotkali na drodze, po „pochwalonym“ natychmiast zapytali: „co tam panie słychać z tymi biednymi Burami?“ O ile wnosić mogę ze spostrzeżeń zebranych z różnych warstw naszego społeczeństwa, transwalski Dawid budził u nas prawie powszechne współczucie w swej bohaterskiej walce z brytyjskim Goliatem. Ludzi, którym względy „kultury“ przesuwały serce ku przeciwnej stro-

nie, spotkałem bardzo niewielu i to wyłącznie w sferze, gdzie są czoła dumne siniakami od bicia pokłonów „wyższym racyom." Proste rozumy i proste serca rozwiązywały sobie zagadnienie bursko-angielskie bez trudu i mędrkowań: tygrysy osaczyły bawołu...

W chwili, kiedy ten bawół utracił już dużo krwi z głębokich ran, połamał sobie rogi i bronił się już tylko rozpaczliwie racicami, odciągnęła naszą uwagę wrzawa wojny europejsko-chińskiej. Przenieśliśmy wzrok z Afryki do Azyi i znowu zaczęliśmy rozwiązywać zadanie polityczne. Tym razem podział głosów nie był tak nierównomierny. Bo nietylko obrońcy „względów kultury" i „wyższych racyj" najeżyli się przeciw zawziętym w swej obronie Mongołom, ale nadto Łysiaki i Dyrdy uczuli się skrępowani w swej sympatyi dla nich tem, że nie są „chrześcianami." Jak tam zresztą wypadł w naszem społeczeństwie stosunek filochinów do chinofobów — mniejsza, dość że wraz z całym światem ucywilizowanym gryźliśmy ten twardy orzech przez całe lato i gryziemy go dotąd. Zepsuł on nam trochę wypoczynek wakacyjny, a może nawet niejedną partyę winta. Zielony stolik sam przez się pobudza najspokojniejszych ludzi do wydrapywania sobie oczu, a cóż dopiero, gdy oni zasiądą przy nim rozpaleni kłótnią polityczną! Nie jest to zaś bynajmniej drobna różnica zdań, gdy jedni żądają, ażeby Chińczyków zaprządz w „kulturalne" chomąta, a drudzy chcą, ażeby im na szyjach zostawić ich własne, jedwabne chustki. Więc mąciliśmy sobie letnie wczasy Tien-tsinem, Pekinem, bokserami, Tuanem itd.

Czy ta buromania, chinomania i wogóle politykomania jest tylko manią, bezmyślną, śmieszną, a nawet niezdrową? Nie lubię polityki... Ale można nie lubić nawet algebry, chociaż ona nie jest ani przewrotna, ani okrutna, ani rozbójnicza, lecz prawa i niepokalana w swej czystości. Osobisty przeto gust — na bok. Niezależnie od niego uznaję, że jest to najważniejsza z nauk praktycznych. Zastanówmy się: wszakże żaden człowiek ucywilizowany o niczem więcej po za obrębem swego zawodu nie myśli i nie mówi, niż o sprawach politycznych. Uczony, poeta, przemysłowiec, kupiec, rzemieślnik, chłop — gdy uprzątnie w swej głowie zajęcia i kłopoty codzienne, wprowadza do niej politykę. I nietylko ten, który ją czynnie tworzy, ale i ten, który ją biernie rozważa i jej zagadnienia teoretycznie rozwiązuje. Czy mu to daje jakąś korzyść duchową? Niewątpliwie. Na tych bowiem zagadnieniach kształci on swoje zasady i uczucia moralne. I to szczególnie ci, którzy zajmują się tym przedmiotem bezinteresownie, teoretycznie. Sama oderwana reguła albo nie czepia się pamięci, albo zaciera z czasem swoje główne rysy. Dopiero przez zastosowanie do wielu wypadków utrwala się. Człowiek, roztrząsający bezstronnie zadania polityczne, tak się doskonali w etyce, jak ktoś przerabiający zadania rachunkowe — w matematyce. Nie dość tego: obie obecne wojny zawierają w sobie bardzo dużo nici i węzłów moralnych, a przez to są szczególnie pouczające. W zapasach Prus z Austryą lub Francyą tych pierwiastków było bardzo mało: były to walki dyplomatyczne, strategiczne, starcia sił wydzierających sobie przewagę, ale nie boje, nad którymi powiewają sztandary ludzkich praw do bytu i życia. Z tego względu proszę naszą Pallas Atene, czuwającą nad prawidłowością kierunku myśli naszych, ażeby nie gniewała się na buromanię i chinomanię, bo one pozwalają nam ćwiczyć zmysł, rozum i uczucia w rozeznawaniu sprawiedliwości od gwałtu, miłości od samolubstwa, rzetelności od grabieży. Może kiedyś, kiedyś, uczniowie w szkołach będą tak rozwiązywali zagadnienia polityczne, jak dziś rozwiązują arytmetyczne; może tak będą obliczali winy, krzywdy, cnoty, ofiary w stosunkach między narodami, jak dziś obliczają cenę sprzedawanych koni i korcy zboża między jednostkami. A wtedy do zbiorów zadań etycznych wejdzie i wojna anglo-boerska, i chińsko-europejska, i wiele innych.

Tak więc wypoczynku letniego nie przepędziliśmy próżniaczo i bezużytecznie. Powracając do warsztatów pracy, przynosimy do nich więcej wprawy i wiedzy w sądzeniu powikłań życiowych. A jeżeli taką korzyść ktoś lekceważy, to mu odpowiem: doprawdy nie rozumiem, dlaczego zatargi w łonie Towarzystwa muzycznego i Klubu cyklistów lub popisy Pytlasińskiego mają posiadać większe znaczenie, niż te zapasy narodów, które obecnie rozgrywają się na widowni świata. Zestawmy obok siebie: Anglia zagarnęła Transwal, Pytlasiński obalił... jak się nazywa jego przeciwnik?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ENERGETYKA I METAFIZYKA.

—•—

II.

Gdy ideologowie francuscy rozprawiali na początku XIX wieku (Destutt de Tracy, Maine de Biran) o oporze napotykanym przez wolę osobistą i stąd usiłowali wywodzić realność bytu pozapodmiotowego, historycznie da się to zrozumieć; przy ówczesnym stanie psychologii woli i osobowości łatwo było podlegać złudzeniom i innych łudzić. Ale w obecnych warunkach nauki, kiedy wola jest ogólną nazwą dla wszelkich chceń faktycznie danych w doświadczeniu, wątpliwa czy tak łatwo da się wykazać, jak można przeskoczyć od poczucia przeszkody czy „oporu," które jest tylko zjawiskiem, stanem podmiotowym, do realności bytu przedmiotowego, któryby już nie był przedmiotem tylko myśli naszej, lecz przedmiotem w sobie.

Od połowy bieżącego stulecia wielokrotnie usiłowano przerzucić most energii pomiędzy dziedziną zjawisk fizycznych a dziedziną zjawisk psychicznych. Jak dalecy jesteśmy od urzeczywistnienia tego źle zrozumianego zadania, dowodzą przytoczone przenośnie prof. Struvego w zestawieniu z pojęciami energetyki, dowodzi nadto tego dzisiejsza krytyczna teorya poznania. Szczególnie jednak od r. 1895, w którym Wilhelm Ostwald wystąpił ze swoim słynnym odczytem „Die Ueberwindung des wissenschaftlichen Materialismus" *), nie przedstawiającym zresztą nic szczególnie nowego, wszczęły się spory ogólne na temat energii, granic zastosowalności tego pojęcia i możliwego przejścia z jego pomocą metylko z fizyki do psychologii, lecz i do metafizyki czyli nauki o istocie bytu. Fizycy i chemicy, wobec tego projektu wyrugowania z nauki pojęcia materyi na rzecz pojęcia energii i zastąpienia mechaniki atomistycznej przez teoryę energii, zachowali się naogół poprawnie i w sposób, który świadczy, że wyniki pracy teoryo - poznawczej w drugiej połowie naszego wieku nie poszły na marne. Zrozumieli oni dobrze, że zarówno pojęcie atomu, jak pojęcie energii jest narzędziem teoretycznem naszego umysłu, że wartość tego narzędzia zależy od tego, o ile każde z tych pojęć nadaje się do możliwie prostego i wszechstronnego ogarnięcia materyału doświadczalnego, że zatem chodzi tylko o to, czy pojęcie energii da się pod tym względem wylegitymować w obecnym stanie nauki. Otóż, zastrzegano się, i słusznie, że chemia w obecnym stanie analizy zjawisk chemicznych nie może się obyć bez pojęcia atomu, że nawet w wielu działach fizyki tymczasowo jeszcze pojęcie materyi jest pożytecznem.

W dziedzinie psychologii próbowali zastosować pojęcie energii: Lasswitz w artykule „Von der psychophysischen Energie und ihren Factoren" (1895) i prof. Grot w artykule „Die Begriffe der Seele und der psychischen Energie in der Psychologie" (1898) *). Grot nawet antycypuje niejako myśl prof. Struvego, gdy mówi o wyrażeniach potocznych, określających ilościową wartość objawów energii psychicznej (*Archiv.* t. IV, str. 299—303), lub gdy pisze: „Wszystko, co wiemy o energiach świata, są to jedynie warunki objawiania się lub otamowywania działań naszej energii osobistej" (272).

Nie znam jednak nikogo, ktoby tak naiwnie przeniósł pojęcie energii w dziedzinę metafizyki, jak prof. Struve. Załatwiwszy się w sposób, jak widzieliśmy, bardzo niewyszukany z syntezą świata zjawisk fizycznych i psychicznych pod wspólnym mianownikiem energii, autor nasz kładzie jeszcze szczególny nacisk na zasadniczą zgodność myśli i bytu: poznawana przez nas przyroda fizyczna jest tak samo racyonalną, jak myśl nasza, jak duch, bo oto przy pomocy swoich praw lub formuł możemy przewidywać zjawiska i nawet je sprowadzać; przyroda, byt zewnętrzny, zachowuje się zgodnie z naszą myślą.

Na to już Kant odpowiedział w duchu krytycyzmu, zupełnie zresztą obcego prof. Struvemu, i przeciwko dogmatowi racyonalistów. Zgodność ta dowodzi nie tego, że byt jest racyonalnym, lecz tego, że nasze prawa i formuły, o ile zostały wytworzone na podstawie określonych postrzeżeń, w rzeczy samej ściągają się do tychże postrzeżeń i mogą być na nich sprawdzane. Ale żadne postrzeżenia nie są bytem pozapodmiotowym i żadne prawo przyrody nie sięga po za obręb tych zjawisk i tych stosunków, któreśmy oderwali od konkretnego doświadczenia i w prawie sformułowali. W naszych prawach przyrody niema żadnych rękojmi rozumu przyrody; są to tylko formuły ogólne, wyrażające dostrzeżone przez nas jednostajności w przebiegu zjawisk pewnych, wybranych, z pominięciem wszelkich innych; póty one mają wartość, dopóki przewidziana w prawie jednostajność stosunku pomiędzy zjawiskami będzie się sprawdzała; gdy zaś zawiedzie, musimy dla tychże zjawisk szukać nowych stałych stosunków.

Nasza miara zjawisk jest tylko przybliżoną, bo ani jednostek bezwzględnie stałych nie posiadamy, ani pomiarów bezwzględnie ścisłych dokonywać nie możemy. Nasz zakres doświadczeń jest zawsze ograniczony i wobec zwiększającego się zakresu doświadczeń zawsze musimy być przygotowani do zastąpienia niedostatecznych praw przyrody przez nowe. Tycho de Brahe utrzymywał, że ciała niebieskie poruszają się po epicyklach tak samo, jak my utrzymujemy, że zataczają drogi eliptyczne; jednak Tycho de Brahe przewidywał zaćmienia prawie tak samo dobrze, jak spółcześni nam astronomowie, którzy zresztą dotychczas uważają za rzecz dogodną stosowanie teoryi epicyklów w swoich wzorach astronomicznych. Ale dziwnem byłoby utrzymywać, że i epicykle i elipsy istnieją w rzeczywistości, bo przy ich pomocy możemy przewidywać zjawiska astronomiczne. Mnóstwo zjawisk świetl-

*) Przekład polski p. n. „Krytyka materyalizmu naukowego." Warszawa, 1897.

*) Obie prace w kwartalniku filozoficznym *Archiv für systematische Philosophie.*

nych da się tak samo dobrze objaśnić i przewidzieć za pomocą optyki emisyjnej Newtona, jak za pomocą optyki undulacyjnej Younga, lub elektromagnetycznej Hertza; ale stąd przecież nie wypada, iżby którakolwiek z tych racyonalnych teoryj tkwiła w przyrodzie. Każda z nich jest względnie wygodnem narzędziem teoretycznem do ujmowania i analizy zjawisk świetlnych, a ta z nich lepsza, która całkowity zasób doświadczeń świetlnych potrafi najlepiej objąć i najdokładniej będzie się zgadzała z całą fizyką wogóle. Prof. S. powinienby utrzymywać konsekwentnie, że optyczny rozum przyrody był innym za czasów Newtona, a innym znów za naszych czasów; nadto musiałby dodać, że, jak to widać z optyki dzisiejszej, przyroda zaczyna sprzeniewierzać się rozumowi Youngów i Fresnelów. Z względnej zastosowalności oderwanych praw przyrody do zjawisk, rozważanych tylko pod pewnymi względami i nigdy ściśle niewymiernych, niepodobna wysnuć wniosku o stałej i niezmiennej naturze bytu. Nie przyroda zgadza się z prawami, lecz prawa zgadzają się z tem, co zaobserwowano dotąd w przebiegu zjawisk.

Gdyby prof. Struve żył ze swoimi poglądami za czasów Brahego, twierdziłby, że ciała niebieskie biegną po drogach racyonalnych, bo po epicyklach; dziś zapewne skłonnym byłby tenże autor do przyznania racyonalności systemowi słonecznemu za wzorową eliptyczność jego dróg planetarnych. Nauka wszakże dzisiejsza nie ulega już tym złudzeniom: wie ona dobrze, że racyonalną można nazwać z sensem tylko myśl naszą i że pojęcie to przeniesione na przyrodę staje się niedorzecznością.

Cóż łatwiejszego teraz, jak przerzucić się od dziedziny zjawisk fizycznych i psychicznych, podciągniętych jednostajnie pod pojęcie energii, racyonalnej w objawach swoich, do istoty wszechrzeczy, do bytu, który jest źródłem wszechzjawisk? Jeden śmiały skok tylko — i oto jesteśmy w obrębie metafizyki, gdzie już żadna nauka dosięgnąć nas nie zdoła. Prof. Struve zabiera z sobą w tę podróż skromniutki tylko bagaż — dwa słówka z fizyki: *energia potencyalna*.

Istota bytu, rozumna i samowiedna, słowem Bóg, jest wszechświatową energią potencyalną. Z niej, z tej energii wszystko wypływa, przez nią wszystko bytuje i ona tkwi we wszystkiem. Bóg, jako energia potencyalna, przechodzi wciąż w postać kinetyczną, w świat widomy, doświadczalny. Świat jest objawem Boga w postaci kinetycznej, jest przepostaciowaną częścią Boga. Bóg jednak, jako energia potencyalna, przechodząc w postać kinetyczną, nie wyczerpuje się bynajmniej. Tu, w dziedzinie metafizycznej, prawo zachowania energii już nie obowiązuje. Tu wszystko jest energią potencyalną, tam — w świecie zjawisk — wszystko jest wypływem tamtego źródła niewyczerpalnego, wszystko jest postacią kinetyczną Boga.

Zakłopotany fizyk ze swego brzegu woła przez przepaść: „Mistrzu! U mnie z energii potencyalnej nic nie wypływa, bo ona nie jest ani źródłem, ani naczyniem, ani rzeczą; jest tylko liczbą, miarą tego, czego niema, ale co przy określonych warunkach być może. Cóż ty tam oglądasz? U nas tylko, gdy otworzymy szluzę, woda spada i wykonywa pracę, gdy przyłożymy iskrę, mina wybucha i wykonywa pracę. Któż tam otwiera szluzy, kto iskry przykłada, że ta otchłań tak zieje mgławicami światów?

A mistrz na to: „Biedny! chcesz nędznymi swoimi kluczami fizycznymi otwierać tajniki wszechbytu! Rzuć fizykę i przejdź na moje stanowisko metafizyczne, a będzie ci daną moc oglądania i rozumienia."

A teolog ze swego znów brzegu woła: „Mistrzu, wszak to panteizm, wszak to stara jak świat bajka o emanacyi, wypływach, którą snuli platonicy aleksandryjscy. Wszak to jest herezya, skoro nam objawiono, że Bóg stworzył świat z niczego, nie zaś sam się w świat przepostaciował. Czemuż rachujesz się z fizyką, a lekceważysz objawienie?

A mistrz na to: „Biedny dogmatyku! rzuć katechizm, jak ja strząsnąłem proch nauki ze stóp swoich, a przejrzysz." I więcej już mistrz nie mówił, a gęsty obłok skrył go przed oczami gawiedzi.

Więc, parę słów jeszcze.

Prof. S. fałszywie rozumie zatarg pomiędzy fizyką a metafizyką, które chciałby pojednać. Zatarg ów nie na tem polega, jakoby fizyka materyalistyczna chciała z materyi wyprowadzić ducha wbrew metafizyce, bo fizyka przecież nie zajmuje się duchem; polega on na tem, że metafizyka materyalistyczna zakrzewiła się w fizyce i tamowała jej rozwój; że fizyka pod wpływem nałogów metafizycznych brała materyę, atomy, siły, prawa, w znaczeniu metafizycznem. Fizyka z natury swojej powinna była te pojęcia, zdobyte przez odrywanie i uogólnienie, brać za pojęcia, tj. za narzędzia teoretyczne, przydatne do dogodnego ujęcia pewnych szczegółów doświadczenia. Tymczasem brała je faktycznie za byty przedmiotowe, które wytwarzają zjawiska doświadczenia, za istoty pozazjawiskowe. Tym sposobem powstawały zagadki nierozwiązalne, bo siła np. lub atom, zamiast być narzędziami badania, same przeobrażały się w domniemaną rzeczywistość, w czynniki realne, których działania badać usiłowano.

Zatarg, który prof. S. przez nieporozumienie bierze za zatarg fizyki z metafizyką, spór o rodowód ducha z materyi jest właściwie zatargiem metafizyki materyalistycznej z metafizyką spirytualistyczną, a więc walką pomiędzy doktrynami nic wspólnego z nauką nie mającemi. Fizyka wyrzuciła z siebie metafizykę materyalistyczną i to jest wielkie jej zwycięztwo.

Zupełnie czemś innem jest zatarg pomiędzy energetyką i materyalizmem naukowym czyli mechaniką atomistyczną. Materyalizm naukowy, czyli atomizm nie jest bynajmniej metafizyką i nie zna materyi jako bytu. Jest to spór domowy, gdzie chodzi nie o wyrzucenie wtręta obcego, lecz o to, czy pojęcie energii może z korzyścią dla teoryi zastąpić pojęcie atomu z korzyścią — to znaczy z rękojmiami głębszej i dokładniejszej analizy zjawisk, szerszego ogarnięcia materyału doświadczalnego i skuteczniejszego uniknięcia sprzeczności.

Rozprawa prof. Struvego jest jednym z wielu przykładów tego, na co zeszła dziś metafizyka, która niegdyś, dumna ze swojej przenikliwości sięgającej aż w głąb istoty wszechrzeczy, łudziła się, że z zasadniczych prawd swoich potrafi wysnuć wszystkie nauki jako proste konsekwencye, jako przypadki poszczególne, że im zgóry prawa swoje podyktuje.

Dziś, gdy nauki, wyemancypowano z pod tego patronatu, stanęły na własnych nogach, a filozofia zajęła się krytyką pojęć, zasad i metod naukowych, gdy stała się teoryą nauki, metafizyka pędzi oto lichy żywot pasorzytniczy, żywi się okruchami z obfitego stołu nauki, bawi się w naiwne przedzierzganie określonych pojęć fizykalnych w urojone byty metafizyczne i zdobywa chorągwie jak Zagłoba pod Konstantynowem.

A. Mahrburg.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowy obraz dziejów literatury polskiej.

(Dokończenie).

Adam Mickiewicz, zgodnie ze sprawiedliwością historyczną, zajmuje w dziele tronowe miejsce. Rozprawa o nim, trzykrotnie przerwana, składa się z czterech części, które stanowią razem 105 stronic; przeważną wszakże ilość tych kart pochłania życiorys. Ocena płodów słowa twórczego bynajmniej nie jest wyczerpująca.

Najsłabsze oświetlenie padło na *Dziady*, mianowicie „wileńskie." O „Części IV-ej," owym najrychlej powstałym brylanciku w koronie sławy Mickiewiczowskiej, dzieło Chmielowskiego prawie nic nie mówi; nazywa ją tylko „pierwszym w literaturze naszej, poematem zawiedzionej miłości" (taki ogólnik nieokreślony przyczepić można, jako etykietę, bodaj do szpargału, nazwanego „listem miłosnym" z w. XV) i rzuca wiązkę bladych refleksyj, które ani treści utworu, ani jego kolorytu i formy nie objaśniają. Pomimo to autor całą stronicę danemu niby przedmiotowi poświęca. O czemże rozprawia? — O niewypowiedzianych, tajemnych, a dla bystrego krytyka (co słyszy, jak trawa rośnie) całkiem jasnych i widocznych dążeniach obywatelskich, które już wtedy miały napełniać duszę wieszcza. Ta szczególna metoda, polegająca na uciekaniu myślą w przyszłość poety przed obecnym życia jego momentem, łączy się z charakterystyczną ciemnością stylu. Oto własne słowa historyka:

„Pozwoliwszy rozwinąć się w Gustawie wyłącznemu uczuciu, które z młodzieńca, marzącego o laurach Milcyadesa uczyniło „cienik blady" kochanki, Mickiewicz nie chciał pozostawić czytelnika w tem przekonaniu, że sympatya dla bohatera poematu równoznaczną być winna z uznaniem moralnem dla całości jego postępowania. Gustaw „dla przestrogi" przeżywa w noc Dziadów najważniejsze chwile swych cierpień, daje pobocznie ocenę ich jednostronności i każe sądzić, że są większe w życiu zadania, niż miłość ku najlepszej i najpiękniejszej nawet kobiecie" (t. III, str. 156, 7).

Pojmujemy, że w Gustawie żyje już przyszły Konrad; ale rozprawiając o „Części IV-ej," należy przedewszystkiem jak najwierniej scharakteryzować jej bohatera. Niedość na tej szczerbie: Chmielowski, trzymając się dziwnej, właściwej sobie logiki, mówi naprzód o „Części IV-ej," potem o fragmentach „I-ej," w końcu o „II-ej." A przecież t. z. „Część II" jest organicznym, naturalnym prologiem t. z. „Części IV-ej," i łącznie z nią stanowi do pewnego stopnia całość skończoną.

Znacznie jaśniejsze i zupełniejsze są wykłady powieści poetyckich — *Grażyny* i *Konrada Wallenroda*; lecz i one temu jedynie przynieść mogą pożytek, kto, odpowiednio przygotowany, raz i drugi przeczytał uważnie oba utwory. Autor, który hojnie obdarza nas rożnemi streszczeniami, tym razem osnowy nie podał, w przekonaniu, jak widać, że czytelnicy jego książki powinni znać główne pisma arcymistrza naszej poezyi. W każdym razie byłyby tu potrzebne uwagi, rzucające światło na stosunek obu poematów do źródeł dziejowych. O Konradzie Wallenrodzie szczególniej, jako o postaci historycznej, należało kilka słów powiedzieć.

Nawiasowo muszę tu wytknąć, spostrzeżoną między dwoma zdaniami autora, nie-

jaką sprzeczność. „Charaktery w *Grażynie* (pisze w t. III na str. 161) nie są to owe blade, nieśmiałe, pastelowe rysunki, jakie widzieliśmy w *Wiesławie*, lecz silne, barwne, wyraziste." Jakto, — przecież w optymistycznej ocenie sielanki Brodzińskiego i o tej stronie utworu pochlebny sąd wypowiedziano? — „Charaktery (czytamy w t. III na str. 136) kreślone pędzlem o lekkiem dotknięciu, zachowują wszędzie swoją indywidualność, nie tracąc równocześnie cech wspólnych." Teraz już nie wiemy: czy według Chmielowskiego charaktery w *Wiesławie* są „wyraziste," czy „blade."

Ocena *Pana Tadeusza*, który dla historyka jest najświetniejszą gwiazdą na niebie poezyi polskiej, nie odpowiada w zupełności swemu zadaniu. Rodowód arcydzieła przedstawia się zbyt jednostronnie i ułamkowo. O rozwoju treści i układzie niema żadnej wzmianki. Główną uwagę zwrócono na charaktery, na realizm w traktowaniu rzeczywistości, a zarazem „na przenikające całość, uczucie — silne, namiętne, lecz na wodzy trzymane." Rozstrzygając wreszcie kwestyę nazwy estetycznej, jaką mamy kojarzyć z tytułem poematu, wzgardliwie potrąca o „niektórych dzisiejszych" (tu z należytem skupieniem ducha uderzam się w piersi), co mu nadają miano okazałego prototypu „gawędy poetyckiej," i ogłasza (po raz tysiączny), że „Mickiewicz dokonał jednego z najtrudniejszych zadań artystycznych — stworzył *epopeję nowożytną*..." Ukończywszy swą, daleką od zupełności rozprawkę o arcydziele, Chmielowski (na str. 88 tomu IV) skreślił jedno z tych zdań, które proszą się czytelnika... o wykrzyknik w nawiasie:

„I u Mickiewicza owa najwyższa równowaga potęg duchowych nie trwała długo: szala przechyliła się ku uczuciowości i fantazyi. Wkrótce po ogłoszeniu *Pana Tadeusza* poeta nasz ożenił się..." Więc małżeństwo w życiu wieszcza było objawem zerwania równowagi jego duchowej na korzyść uczucia i... fantazyi? — *Risum teneatis*...

W szeregu pokrzywdzonych sądem Chmielowskiego, poetów, jedno z najgłówniejszych miejsc zajmuje oceniony niegdyś godnie przez Mickiewicza, zbyt wcześnie zmarły, Stefan Garczyński — umysł śmiały a głęboki, serce ogniste, talent pierwszorzędny, który oryginalnymi wzlotami zapowiadał geniusza. Dotkliwa boleść i gwałtowny protest budzi się w duszy, gdy czytamy następne słowa, „ręką *przysięgłego* krytyka" skreślone: „Świata myśli nie zdołał przyoblec w ciało piękne i ponętne (mechaniczna przeróbka wyrażeń poety), a odepchnął wielu czytelników suchością (!) refleksyi" (t. IV, str. 72). Wprawdzie *Wacława młodość*, „Część I" zamierzonego poematu, przedstawia zbiór, niepołączonych ściśle ze sobą, miejscami ciemnych, niedoskonałością formy tu i owdzie skażonych fragmentów; ale są tam wspaniałe — jasno odsłaniające, na gruncie filozoficznym oparty, plan dzieła,— tytaniczną śmiałością myśli i olbrzymią potęgą uczucia tchnące obrazy, które zniewolić powinny każdego estetyka do umieszczania utworu w rzędzie znakomitych. Za głuchy rozdźwięk w harmonii sądów o przeszłości naszego piśmiennictwa pięknego uważam również bezkrwiste, zgoła nieuzasadnione zdanie, że *Wspomnienia* Garczyńskiego „nie odznaczają się stroną formalną." Są to właśnie najdroższe z pozostałej po młodym wieszczu puścizny — nieocenione, urocze, od wszelkiej „abstrakcyi suchej" dalekie, iskry zapału refleksyjnego i perły mowy wiązanej. Sąd pseudokrytyki nie unicestwi tego skarbu; zakryć go tylko może na chwilę przed oczyma zbyt ufającego wszelkim powagom tłumu.

Bez porównania dokładniejszy, lecz stosunkowo za obszerny (sześć kart w dwu tomach zajmujący, — gdy Garczyńskiemu poświęcono tylko jedną) jest artykuł o Sewerynie Goszczyńskim. Zwrócę tu uwagę na drobny szczegół. W ustępie o *Zamku Kaniowskim* (t. III, str. 209) zaznaczono, że poematy Byrona „na sposób traktowania osób i sytuacyi (w tej powieści poetyckiej) nie oddziałały zupełnie." Promienie tego wpływu odbijają się, jak sądzę, dość wyraźnie w usposobieniu i ruchach Nebaby (w „Części III"), gdy zamiast z właściwą sobie odwagą, pod wpływem uczucia zemsty, dążyć prostym szlakiem do wykonania zamysłu, bohater słucha złowróżbnej pieśni lirnika, duma i błądzi po bezdrożach. Byronowski fatalizm wycisnął tu swą pieczęć na surowem obliczu kozaka.

Rozprawa o Juliuszu Słowackim, stanowiąca jeden ciąg nieprzerwany, mieści się na 65 stronicach tomu IV-go. Historyk, przyznając wielkiemu poecie niższy, niż Mickiewiczowi, stopień zdolności twórczej, zaszczyca go wszakże mianem „talentu genialnego." Mniejsza o tytuł dla wieszcza i rozmiar poświęconego mu artykułu; byleby czyste poczucie sprawiedliwości dziejowo-estetycznej nie było obrażone lekceważeniem klejnotów poezyi. Czy krytyk oszczędził bólu duszom prawowitej dziatwy Słowackiego, nie wiem; według mnie, w poglądach swoich na niektóre płody jego muzy skalał się krzywym sądem. Utrzymuje np., że w pierwszem (paryskiem, z r. 1832) wydaniu prócz drobnych wierszy, całości pięknej w ścisłem (!) znaczeniu wyrazu nie było jeszcze..." (str. 146). Cień ogólnej nagany pada nawet na takie dzieła, jak: *Jan Bielecki*, *Lambro* i *Marya Stuart*. Skądże ta surowość sądu? — Oto nie podobą się krytykowi, panujący w tych płodach muzy, duch byronistyczny — odstręczają charaktery „mroczne, ponure," nienawiści pełne. Dziwna racya... Był to widać nastrój, właściwy jednostce twórczej i jej otoczeniu; a piękność w dziedzinie artyzmu nie zależy bynajmniej od optymistycznych ni pesymistycznych na świat poglądów...

Bardziej rażącą wydaje się ocena porównawcza dwu prawie współczesnych, lecz wielce różnej wartości poematów:

„Najsłabszym z nich (skreślonych we Florencyi) jest *Piast Dantyszek herbu Leliwa*: gdyż połączenie rubaszności opowiadacza kontuszowego o swej wędrówce przez morze krwi... z obrazami tkliwego nastroju nie powiodło się, rażąc nieraz swoją niеestetycznością, wywołując wstręt i odrazę.—Daleko lepszym jest *Wacław*, gdzie poeta nasz podjął po Malczewskim dalszą historyę jego bohatera, ale bynajmniej nie w jego duchu..." (str. 163).

Ośmielę się wyznać, że zdanie moje o tych dwu utworach, niewiele ze sobą mających wspólnego, jest, wobec powyższej recenzyi, całkiem przeciwbiegunowe. *Piasta Dantyszka* poczytuję za wspaniały epos fantastyczno-elegijny, — jeden z najpiękniejszych, nigdy nie więdnących kwiatów poezyi, — za drugie żywe ogniwo cudownego twórczej myśli łańcucha, w którym pierwsze miejsce zajmuje *Ojciec zadżumionych*, a trzecie— *Rozmowa z matką Makryną*. Owa obrażająca właściwy krytykowi, smak estetyczny, „rubaszność" typowego szlachcica, zalewającego trunkiem swój straszny smutek, lecz przenikniоnego nawskróś szlachetnymi instynktami, jest naturalna i konieczna, a „połączenie" jej z „obrazami tkliwego nastroju" „powiodło się," jak sądzę, wieszczowi najzupełniej. *Wacław* natomiast, dziwaczna w swym pomyśle, spóźniona powieść poetycka, którą Słowacki (wskazuje to przedmowa) z pewnym sromem w świat puszczał, — stanowi błędny wyraz wstecznego zawrotu ku ubiegłej dobie twórczości, i pomimo kilku efektownych ustępów, należy, jako całość, do najsłabszych prób genialnego pióra.

Ze wszystkich głównych prac Juliusza Słowackiego najgorzej *Król-Duch* został oceniony. Mechaniczne, suche, na jednej stroniczce pomieszczone, sprawozdanie przedstawia pobieżnie treść trzech pierwszych „rapsodów," bez jasnego zaznaczenia idei przewodniej. Lekceważącą wzmiankę o nieukończonem arcydziele zamyka następne zdanie: „Dalsze fragmenty są zbyt ułamkowe, ażeby z nich można było jakiś ciąg myślowy wydobyć" (str. 189). Nie znając utworu, wypadałoby stąd wnioskować, że pozostała część, którą autor wzgardliwie rzucił w ciemny kąt zapomnienia, stanowi jakąś nieokreśloną plątaninę drobiazgów; a tymczasem spuszczo zasłonę nie na marne okruchy, lecz na dwa świetne „rapsody," z których każdy zawiera po cztery „pieśni." Pierwszy („Miecz a sława"), doprowadzony do końca, składa się z 208; drugi („Bolesław Śmiały"), mający postać okazałego fragmentu, ze 184 oktaw. Oprócz tego są „waryanty," stanowiące razem kilka arkuszy druku. Nie o ilość jednak tu nam idzie, ale o jakość. Historyk zauważył mimochodem, że „Rapsod III" („Piast") zamyka w sobie „szereg przepięknych obrazów, pełnych plastyki." Prawda, lecz ten „rapsod" jest nawiasowym epizodem, zboczeniem artystycznem w *Królu-Duchu*; gdy następny (IV) stanowi część jego niezbędną, a zarazem przejaw pierwszego momentu w poprawionym planie dzieła. Chociażbyśmy zamknąć mieli oczy na wszystko, co blaskiem wielkiego słońca nie uderza, to i wtedy musielibyśmy w głębokim zachwycie kontemplacyjnym, pochylić głowę przed potężnym, bijącym w nas, wichrem natchnienia, kiedy przechodzimy całą skalę subtelnie cieniowanych obrazów, jakie się snuły w umyśle ociemniałego, a cudem bożym dar widzenia zdobywającego, królewicza Mieczysława. A nie jest to bynajmniej jedyny, lecz tylko najbardziej imponujący z wielu pięknych ustępów, które zdobią dwa ostatnie „rapsody" *Króla-Ducha*.

Na imieniu wielkiego poety, którego nieśmiertelne wawrzyny odświeżają się coraz to nową zielonością i kwieciem w twórczej pracy epigonów, przerywam krytyczny spis uwag nad dziejowo-estetycznymi poglądami Chmielowskiego. Nie idzie mi tu wcale o wyczerpanie długiego rejestru spornych punktów, ale tylko o charakterystykę książki, jako pochodni, mającej oświetlić koleje życia literatury ojczystej.

Zastanowiwszy się nad układem i treścią dzieła, muszę choć słówkiem potrącić o formę językową. Na kartach książki często spotykamy się z brakiem ścisłości logicznej w oddaniu myśli. Oto przykłady:

1) „...długo jeszcze w Wielkopolsce istnieli zwolennicy husytyzmu..., których siłą zgnębić musiano, *tak samo jak spalić kilku kaznodziejów husyckich*" (I, 89).

2) „*W wymowie są* także wyjątkowi *autorowie*, posługujący się czystą mową polską..." (II, 77).

3) „*Po polsku można wymienić* zaledwie poemat historyczny..." (II, 119).

Gorzkim chlebem powszednim są ustępy (obfituje w nie szczególniej tom V), grzeszące lekceważeniem zasad harmonii stylu, rozwlekłością i wadliwą budową zdań. Z pośród wielu wybieramy, dla przykładu, dwie bezkształtne, choć wcale jeszcze nie najgorsze, charakterystyki (redaktora-publicysty i bohatera komedyi):

1) „Redakcyę „Gwiazdy" objął po Fiszu... Jakób Jurkiewicz, człowiek już 39-letni, *ale* pełen zapału i energii, nie bogaty, *ale niezależny* i umiejący *niezależność* swą cenić, bez wydatnego stanowiska w społeczeństwie, gdyż był małoznacznym urzędnikiem w Kijowie, *ale* prawy i zacny, niezbyt utalentowany, rubaszny wiel-

ce, *ale* śmiały i dosyć ukształcony...“ (t. V, str. 221).

2) „Jej *ukochany* Adolf (z komedyi Korzeniowskiego p. n. „Panna mężatka“), *przezwany* przez poczciwego majora Fabiuszem Kunktatorem, *z powodu zwlekania z ożenieniem się*, jest człowiekiem, *w którym* rozwaga przytłumia chwilowo popędy uczuciowe, każe mu się trzymać na ostrożności wobec zalot i wdzięków niewieścich, pobudza go *do* krytycznego zapatrywania *się* na panny *do* wzięcia, ostudza zapał i tamuje pochopność *do* stanowczego kroku; *ale w którym* uczucie bynajmniej jeszcze nie zastygło i potrzebuje tylko bodźca, by wybuchnąć płomieniem— co prawda dość bladym...“ (V, 274).

Pora już dotrzeć do kresu. O dziele Chmielowskiego, jako o całości skończonej, sądzić jeszcze dzisiaj nie możemy. W ostatnim z ogłoszonych tomów historya literatury polskiej zatrzymała się na r. 1850. Tajemnicę opracowania dziejów drugiej połowy XIX-go wieku blizka przyszłość odsłoni. Pewną wszakże jest rzeczą, że grunt myślowy, układ, metoda i styl — ujawnione w pierwszych pięciu tomach, nie ulegną w VI-ym żadnej zmianie zasadniczej. Wolno więc nam w określonych granicach wyrazić zdanie ogólne, na poprzednim rozbiorze oparte.

Imponująca swem zadaniem, wielkich rozmiarów książka, — która na widnokręgu piśmiennictwa ukazuje się, niby drogowskaz, przy samym schyłku stulecia, prawie jednocześnie z podobną pracą prof. Stanisława hr. Tarnowskiego, — zamyka w sobie wiele nowych szczegółów i dąży widocznie do krytycznego zregestrowania całej naszej przeszłości literackiej. Niezupełnie jednak odpowiada ona swemu celowi. Dzieje poezyi, któremi specyalnie zająć się należało, zawarte w ramach napoł błędnego podziału, traktowane są przeważnie po macoszemu i zagłuszone balastem różnych wycinków z polskiej encyklopedyi historycznej. Na obniżenie wartości książki niemało też wpływa zaniedbana jej szata językowa.

Antoni Gustaw Bem.

W DALI.

Petersburg. *Gazeta finlandzka* zamieszcza Najwyższą decyzyę w sprawie petycyi przedstawicieli ziemskich sejmu finlandzkiego co do systemu rządzenia krajem:

„Z wielu petycyj ostatniego sejmu największe znaczenie pod względem zamiarów i celów jej autorów miała oczywiście petycya w sprawie rządzenia krajem. Petycya ta, jak wiadomo, nie zawierała w sobie prośby o wydanie jakiegokolwiek określenia rozporządzenia rządowego, lecz była w gruncie rzeczy skargą na Naczelnika kraju, w której przedstawiciele ziemscy potępiali wogóle zarządzenia rządowe z ostatnich czasów z wyjątkiem tych, które stały się przedmiotem osobnych petycyj. Petycya wymieniona zawierała, między innemi, potępienie rozporządzeń w sprawie ograniczenia pozwoleń na zakładanie towarzystw, gdy, zdaniem przedstawicieli ziemskich, dopuszczona była agitacya rzekomo praktykowana przez handlarzy wędrownych; potępiono również ograniczenia zgromadzeń publicznych i zmiany częściowe w przepisach prasowych. Potępione były wreszcie projektowane środki, zmierzające do rozszerzenia władzy generał-gubernatora. Petycya zarzucała Naczelnikowi kraju nieprawiałowość działań, przejawiającą się wrzekomo w utworzeniu dozoru przy współudziale członków żandarmeryi, który to dozór istnieje w kraju z górą od lat 80. Petycya zawierała oskarżenie, że tak zwany adres zbiorowy był przedstawiony wskutek agitacyi wstępnej, przyczem przeprowadzono paralelę między skutkami tego adresu a wysłanego przez obywateli gminy krasnosielskiej. Petycya twierdzi, iż wogóle Naczelnik kraju zarządza nim niezgodnie z prawami kraju, lecz systemem, wiodącym do ciągłych uchyleń od istniejących przepisów legalnych. Wreszcie wymieniona petycya wskazywała konieczność bezpośredniego zwrócenia się do Monarchy, jako wynik tej okoliczności, że ministrem sekretarzem stanu do spraw Wielkiego Księstwa Finlandzkiego nie jest Finlandczyk.

Po rozpatrzeniu wymienionej petycyi trzeba przyjść do wniosku, że wyjaśnienia sejmu co do treści pozbawione są podstawy i że w samym fakcie podania tej petycyi należy uznać przekroczenie granic władzy sejmu, gdyż ustawa sejmowa, określając zakres udziału przedstawicieli ziemskich w prawodawstwie miejscowem i w niektórych sprawach administracyi finansowej, nie nadaje im żadnych praw co do udziału w sprawach ogólnego zarządu krajem. W szczególności § 51 ustawy sejmowej (w redakcyi prawa z r. 1886) dozwala na podawanie petycyj tylko w sprawie wydania, zmiany lub odwołania prawa. Również okoliczności, towarzyszące na sejmie 1900 r. ułożeniu wymienionej petycyi, jak również petycyi w sprawie prasowej, świadczą i o tem, że ustawa sejmowa wskutek niedokładności swoich postanowień, nie zabezpiecza w stopniu dostatecznym prawidłowego biegu prac sejmowych, a więc domaga się przejrzenia w celu dokładnego określenia kompetencyi sejmu i ustalenia przepisów, wprowadzających porządek do prac sejmowych i zapobiegających objawom niepożądanym, w rodzaju tych, które zdarzyły się w ciągu ostatnich dwóch sesyj sejmowych, gdy mowy mówców sejmowych, rozpowszechnione szeroko za pośrednictwem prasy, zachwiewały szacunek do władzy wyznaczonej i rujnowały podstawy porządku państwowego.

Petycya wymieniona była przedstawiona do Najwyższego przejrzenia, przyczem generał-adjutant Bobrikow we wnioskach swych pisał, że uważając petycyę tę przedstawicieli ziemskich w treści za akt oskarżenia, skierowany przeciwko sobie, nie uważa za możliwe oceniania stopnia jej podstawowości.

Po najpoddańszym raporcie w tej sprawie Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu podobało się, jak zawiadomił generał-gubernatora minister sekretarz stanu w d. 14 sierpnia Najwyżej rozkazać: 1) Petycyę przedstawicieli ziemskich, jako podaną z pogwałceniem § 51 ustawy sejmowej a zawierającą w sobie zuchwałą naganę rozporządzeń administracyjnych i środków wydanych przez władzę zwierzchnią, pozostawić bez skutku. 2) Zawiadomić jaśnie wielmożnego pana, że działania pańskie uznane są za prawidłowe i odpowiadające otrzymanym przez pana Najwyższym wskazówkom. 3) Zażądać od senatu finlandzkiego, aby przystąpił do przejrzenia ustawy sejmowej w celu ściślejszego określenia kompetencyi sejmu i udoskonalenia regulaminu prowadzenia w nim spraw.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Obradujący przed kilku dniami doroczny kongres związków robotniczych angielskich w Huddersfiel'd protestował w gorących słowach przeciwko wojnie angielskiej w Transwalu, a mianowicie „przeciwko okrutnej i niepotrzebnej wojnie, pełnej nieszczęsnego wpływu na handel i przemysł angielski.“ „Kongres powinien zaprotestować (tak brzmiał jeden z wniosków) przeciwko opanowaniu obu niezależnych państw na żądanie kosmopolitycznych kapitalistów.“ Teraz jeszcze nie ma być pora spóźniona: „100 milionów funtów sterlingów z kieszeni płatników podatkowych wyrzucono na to, aby szereg finansistów kosmopolitycznych, pozbawionych po największej części poczucia ojczyzny, zawładnęło minami złoto w Afryce południowej. Czy sądzicie, że ktokolwiek opłaci tak robotników w kopalniach, jak to czynili Boerzy (wołania *nie!*). I tu chodzi o kwestyę płacy roboczej — i dlatego i my musimy stanąć w obronie ludu, walczącego o swoją niezależność.“

— Zmarły publicysta rosyjski Dżanszlew, zapisał 30 tysięcy rubli pracującym w drukarni *Russkich Wiedomosti* zecerom, korektorom itp.

— Adolf Dygasiński nawołuje w *Kur. Warsz.* filantropów do zakupu słynnego zbioru pieczęci polskich, pozostałego po Bolesławie Podczaszyńskim, obecnie znajdującego się w posiadaniu zięcia sfragisty, Drzewieckiego w Petersburgu. Polacy zamieszkali nad Newą zamierzali kupić go i ofiarować Akademii krakowskiej. Skończyło się na dobrych zamiarach.

— Prefekt m. Paryża, Lépine, wydał świeżo rozporządzenia, ukrócające rozwielmożnioną reklamę naszych czasów: małe wózki, służące celom reklamy, mają zniknąć w przeciągu dni 50. Niedawno skasowano również duże, w konie zaprzężone, wozy, rozwożące tablice reklamowe. P. Lepine poleca kupcom, aby posługiwali się „dyskretną“ reklamą. Może też z czasem znikną również inne objawy zwyrodnienia reklamy, jak murzyni noszący na piersiach tablice, zachęcające do spożywania pierników, do odwiedzania cyrków itd.

Szkoły. Uniwersytet petersburski zapowiada na rok bieżący wykłady docenta prywatnego, słynnego slawisty Jana Baudoin de Courtenay.

— Ministeryum oświaty zezwoliło tytułem próby w ciągu lat trzech egzaminy piśmienne na świadectwo dojrzałości z matematyki w gimnazyach rozłożyć na dwa dni w ten sposób, aby uczniowie rozporządzali trzema godzinami każdego z tych dni na rozwiązanie jednego z zadań. W ten sam sposób odbywać się mają egzaminy z geometryi i trygonometryi w klasie 6 i z algebry, tudzież zastosowania algebry do geometryi w klasie 7 dodatkowej w szkołach realnych. Przepis powyższy, według brzmienia rozporządzenia ministeryalnego, w niczem nie powinien wpływać na wybór bardziej trudnych do rozwiązania tematów z matematyki, zadawanych uczniom.

— W uniwersytecie niemieckim Marburgu (Ks. Heskie) odbędą się pomiędzy 9 stycznia a 27 marca r. p. wykłady profesorów dla nauczycieli szkół ludowych. Prof. Below wykładać będzie o „Dziejach ekonomicznych Niemiec,“ prof. Natorp o „Psychologicznych podstawach pedagogiki,“ prof. Schröder „Historyę języka niemieckiego.“ Dotychczas zameldowało się 105 słuchaczy. Opłata wynosi od osoby 7 marek.

Ruch kobiecy. Z tytułu 70 rocznicy urodzin słynnej powieściopisarki austryackiej Maryi von Ebner-Eschenbach (ur. hr. Dubska, ze zniemczonych Czechów), uniwersytet wiedeński ofiarował jej tytuł doktora filozofii „honoris causa.“ Jest to pierwszy tego rodzaju tytuł w posiadaniu kobiety.

— Do świeżo otwartych wyższych kursów dla kobiet w Moskwie napłynęło na 200 wakansów — 387 podań; do petersburskich kursów — 600 podań na 300 wolnych miejsc. Kursa petersburskie liczyć będą w roku bieżącym 1,000 słuchaczek.

Konkurs. Towarzystwo operowe Moody-Manners, istniejące od lat trzech w Londynie, ogłasza konkurs na operę, która wypełniłaby cały wieczór. Towarzystwo przeznacza dwie nagrody po 250 fst., jedną dla kompozytora Brytańczyka, drugą dla cudzoziemca, a nadto 10% czystego dochodu od każdego przedstawienia. Wzamian za to opera staje się własnością Towarzystwa. Utwór musi być napisany na głosy solowe, chór i orkiestrę.

Sprawy ekonomiczne. Wobec bliskiego już upływu kontraktu z magistratem co do oświetlenia Warszawy gazem oraz projektowanej zmiany gazu na światło elektryczne, Towarzystwo dessauskie stara się o wyszukanie zbytu po za granicami miasta. W tym celu zwróciło się z propozycyą urządzenia światła gazowego do urzędów gmin: Czyste, Wola, Mokotów i Sielce. (*Warsz. Dn.*).

— *Słowo* podaje następującą wiadomość: „W mieście naszem zawiązała się cicha spółka kapitalistów, mających opanować świeżo tworzący się u nas przemysł torfowy. Za pośrednictwem agentów, spółka ta geszefciarzy, wykupiła tegoroczną produkcyę torfu w całej okolicy Warszawy, zabezpieczając się umowami rejentalnemi i płacąc z góry 25% wartości torfu po cenie stargowanej.“

— Na ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego w Wilnie (15 i 16 września) postawiona będzie kwestya stworzenia komisyi, która rozpocznie starania o założenie w Wilnie wyższego zakładu agronomicznego.

Zmarli. Józef Brodowski, artysta-malarz, zasłużony na polu malarstwa religijnego i batalistycznego, ur. 1828 r. w Warszawie, zm. 5 września.

— Brygida Zanowa, sędziwa wdowa po „promienistym" przyjacielu Mickiewicza, Tomaszu Zanie (zmarłym 1855 r.), zm. 7 września w Poniemuniu nad Niemnem. Wydała „Korespondencyę Tomasza Zana" (1863); liczne materyały do biografii męża, owoc pracy całego życia, ofiarowała do opracowania Maryanowi Gawalewiczowi.

— Paweł Schein, zasłużony folklorysta rosyjski, nauczyciel gimnazyum w Rydze, ur. 1826 w Mohylowie nad Dnieprem, zm. 27 sierpnia w Rydze.

— Henryk Sidgwick, filozof angielski, profesor etyki w Cambridge, autor wielu książek z dziedziny etyki i ekonomii politycznej (The methods of Ethics, 1874, Principles of polit. Economy 1883, The Scope and method of Economic Science 1885, Outlines of the history of Ethics 1886, Elements of Politics 1891, Practical Ethics 1898; ur. 1838, zm. w Terling (Essex).

— Gustaw Meyer, b. profesor filologii indogermańskiej w Grazu, słynny znawca języków i ludów półwyspu Bałkańskiego, autor „Słownika etymologicznego języka albańskiego," „Studyów nowogreckich" i wielu innych prac, zamiłowany folklorysta, ur. 1850 na Szlązku. Um. w domu obłąkanych pod Grazem 28 sierpnia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. „Dla smutnej Eloe" — nie nadaje się do druku.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Сентября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.